



PROTOKÓŁ

kulturowy



Nr 94/95 Rok XXVII ISSN 1506-1833 Poznań 2025/26 Kwartalnik

Maciej D. Woźniak

Dźwiganie świata

O poezji Krzysztofa Kuczkowskiego

Zebranie i opisanie całego dorobku twórcy wydaje się zadaniem tyleż ambitnym, co trudnym. W niektórych wypadkach zapewne wręcz niemożliwym. W innych możliwym, lecz w istocie zbędnym lub nawet przeciwnie skutecznym. Dlaczego? Bo twórczość skodyfikowana, zamknięta w gęstej sieci analiz i interpretacji, związana różnorodnymi kontekstami stracić może swój blask. Stracić może tajemnicę, nieoczywistość, która często stanowi o wyjątkowości dzieła. Te zagrożenia w moim przekonaniu są tym większe w przypadku poezji, która z natury jest grą z językiem, ze światem czy ze sferą ducha. Grą nierówną, bo poezja wykorzystuje słowo i jego niejednoznaczność, by uchwycić to, co widzialne i niewidzialne, to, co samo jest trudno uchwytnie.

Jak zatem pisać o poezji i poetach? Czy to zadanie w ogóle winno być podejmowane? Powyższe słowa w istocie nie mają być manifestem przeciw pisaniu o literaturze w ogóle, lecz raczej wyrażać powątpiewanie w sens tworzenia „monografii skończonych” – dążących do opisu totalnego, mających zawrzeć w sobie twórczość danego autora. O ryzykowności czy wręcz jałowości takich dążeń pisał swego czasu chociażby Stefan Sawicki w Początkach syntezy historycznoliterackiej w Polsce. Zauważał on, że w przypadku opisywania tak różnorodnego, uwikłanego w diachronię materiału, jakim jest twórczość literacka, potrzebne jest ujęcie przemian pozbawione apriorycznych ram i schematów, a jedyną zasadą metodologiczną winna być „receptywność konstruująca”. Co zawiera się w tej koncepcji? To, że w opisywaniu dzieła literackiego istotną rolę odgrywa nie tylko suchy zapis faktów, ale także żywe doświadczenie interpretatora wskazującego na dostrzegane przezeń elementy utworów. Wojciech Kudyba, zastanawiając się nad możliwościami i ograniczeniami monografii, zauważał, że z jednej strony recepcja tekstu powinna zachodzić w sposób „czysty”, akcentujący bierny aspekt czytania i cechujący się poszanowaniem autonomii dzieła, z drugiej jednak nie należy wyrzekać się do końca aktywnej postawy autora monografii. Wniosek z obserwacji Kudyby był następujący: potrzeba pewnego rodzaju równowagi w podchodzeniu do opisu dzieł literackich – badacz winien wystrzegać się wpływania na wody totalnego dekonstrukcjonizmu każącego uznać, że monografia jako taka jest w ogóle nierealna, ale zarazem

powinien porzucić złudne marzenie o stworzeniu syntezy idealnej. Zamiast tego celem powinno być opisanie utworu w sposób możliwie najpełniejszy – z zachowaniem szacunku do dzieła, ale i własnej badawczej podmiotowości.

Przystępując do prac nad książką poświęconą poezji Krzysztofa Kuczkowskiego, miałem w pamięci słowa Kudyby, że monografia z jednej strony jest konieczna, z drugiej zaś niemożliwa. Moją ambicją nie było stworzenie klasycznego opracowania, lecz raczej przybliżenie istoty poezji Kuczkowskiego, wyłuskanie jej najważniejszych aspektów. W istocie zaś – sformułowanie zaproszenia do dalszego poznawania jego dzieł. Jest ono skierowane, po pierwsze, do czytelników i miłośników poezji. Z myślą o nich na końcu tego tomu zamieszczony został wybór wierszy – tak, aby mogli oni nie tylko poznać najważniejsze cechy liryki tego twórcy, lecz także sami spotkali się z jego wierszami i odkrywali ich tajemnice. Po drugie moje zaproszenie skierowane jest do badaczy i literaturoznawców. Jak bowiem pokazuje recepcja twórczości Kuczkowskiego (o której jeszcze przyjdzie czas powiedzieć więcej), mimo powstania niezliczonych recenzji jego tomików i wielu interesujących artykułów pióra znakomitych literaturoznawców, poeta wciąż nie doczekał się większego opracowania.

Krzysztof Kuczkowski

Anioł Rilkego

straszny jest anioł
wodzony przez człowieka
na pokuszenie
groźny jest anioł
odtrącony nie wpuszczony
do komnaty serca
zatrzymany w przedsionku
anioł jest jak świeca z ołowiu
jego płomień sprawia ból
gorzki jest anioł
przychodzący z umysłu
jego słowem jest piołun
jego ciałem wodna roślina
straszny jest człowiek, który nie
miłuje i nie czuje kochania

Nr 94/95/2025/26 Żywię jednak przekonanie, że twórczość Krzysztofa Kuczkowskiego powinna być szerzej poznana i aktywnie badana. Jest to bowiem poezja oryginalna, pełna duchowej głębi, a zarazem przystępna w formie. Poezja czerpiąca z dokonań kultury, a jednocześnie tej kulturze wychodząca naprzeciw. To wiersze duchowe, które zawierają pierwiastek metafizyczny, a jednak pozbawione są choćby cienia pretensjonalności.

Gdybym miał w skrócie określić formułę tej książki, powiedziałbym, że jest to po trosze obszerny esej będący zapisem spotkania z literaturą, a po trosze monografia aspektowa, w której staram się ukazać najbardziej znamienne i swoiste cechy poezji Krzysztofa Kuczkowskiego. Ponownie w tym kontekście przywołać mogę słowa Wojciecha Kudyby, który zauważał, że „choć dawna tradycja preferowała ujęcia diachroniczne, rozwijane zgodnie z chronologią zdarzeń wyznaczanych przez biografię twórcy”, to dziś próżno szukać autora, który za cel stawiałby sobie tworzenie totalnej syntezy. Zamiast tego badacze wybierają rozmaite aspekty (czy nawet jeden aspekt) twórczości, które jak soczewki skupiają jej właściwości konstytutywne. Odsłanianie jedynie najważniejszych cech dorobku danego autora to strategia, która pozwala zachować równowagę między próbą kompletnego opisu a wyczuleniem na semantyczną niejednoznaczność utworów. Tak właśnie starałem się analizować twórczość Krzysztofa Kuczkowskiego – próbując uchwycić to, co w jego dziełach jest charakterystyczne, co pozwala dotknąć istoty tej poezji, odrzucając zarazem ambicję stworzenia opisu kompletnego.

Dlatego jeżeli ktoś poszukuje skończonej i wyczerpującej monografii tej twórczości, nie odnajdzie jej w mojej książce. Jeżeli jednak chciałby wgłębić się w poezję Kuczkowskiego, zasmakować jej możliwie najpełniej, nieprzytłoczony nadmiarem akademickiego języka, może to być właściwa ku temu przestrzeń. Mam nadzieję, że zawarte w tej książce refleksje na temat wierszy poety przyczynią się do wzrostu zainteresowania jego osobą i zmotywują wielu badaczy do bardziej aktywnego spotkania z jego twórczością.

Literatura jako spotkanie. Pisanie jako konieczność

Wskazałem powyżej, że w tym szkicu przyjmuję założenia monografii aspektowej, a zarazem że będzie to rodzaj szerszego eseju stanowiącego zapis spotkania z literaturą. Innymi słowy, na pierwszym miejscu stawiam przedmiot interpretacji, jednak nie neguję zupełnie moich doświadczeń podmiotu interpretującego. Wierzę, że tym w istocie jest lektura i interpretacja tekstu: spotkaniem z inną rzeczywistością, spotkaniem z mocą i tajemnicą słowa. A wreszcie, w myśl filozofii dialogu, spotkaniem z Innym – przy czym Inny w tym wypadku to zarówno sam poeta, jak i tworzone przezeń dzieło. Efektem tego spotkania jest wzbogacenie tego, kto czyta, wyposażenie go w nową perspektywę oglądu świata. Tę właśnie perspektywę tu zapisuję, licząc, że czytający te słowa także przyjmą własną, zagłębiając się w twórczość Krzysztofa Kuczkowskiego.

Czy tak się stanie? A może tego rodzaju spotkania dziś nikt nie pragnie i nie szuka? Może książka ta pozostanie zawieszona w próżni jako zapis intymnego spotkania poety i jego interpreta-

tora, bez znaczenia dla ogółu? Do takich obaw mogą prowadzić refleksje niektórych literaturoznawców pochylających się dziś nad stanem kultury. Jako przykład niech posłużą słowa Adriana Glenia z komentarza do ankiety „Toposu” pod tytułem *Sto tomów na stulecie 1918–2018*. Ten zasłużony krytyk i historyk literatury stwierdził, że w dyskusji o kanonie poezji polskiej nie sposób pominąć kontekstu współczesnej rewolucji komunikacyjnej oraz zmierzchu kultury druku, a także marginalizacji literatury, która straciła palmę pierwszeństwa wśród sztuk, z pewnością ustępując miejsca choćby filmowi. Zauważył też, że dziś przeciętny człowiek gubi jakikolwiek kontakt z poezją zaledwie chwilę po opuszczeniu szkolnych murów. To prowadzi do słusznego pytania – po co zatem pisać o poezji? Czy działalność ta ma jakiekolwiek uzasadnienie wśród otaczającej nas kulturowej pustyni?

Takie obawy można rozwiązać w dwojaki sposób. Po pierwsze, przytaczając wypowiedź samego Krzysztofa Kuczkowskiego dotyczącą statusu poezji:

Już od dłuższego czasu mam przekonanie, że poezja, jeśli chce udźwignąć świat, nie może liczyć na sukces, popularność, ba, nawet – paradoksalnie – możliwość porozumienia się ze światem. W zasadzie powinna być dziennikiem mojej ze światem nieprzystawalności, powinna być świadectwem (przede wszystkim dla mnie samego) tego, że jeszcze żyję i że próbuję uparcie i wciąż od nowa podejmować walkę o sens. Mówię tu o pracy duchowej, o współpracy z intuicją poetycką, która zasadniczo jest bezinteresownym darem, ale do przyjęcia tego daru można się przygotować, otworzyć się na niego przez usunięcie zakłóceń i szumów, które często sprawiają, że dar przechodzi mimo nas niezauważony czy nieusłyszany. Poważna praca poetycka zaczyna się wtedy, gdy wierność linii autentycznej poezji staje się czymś absolutnie pierwszorzędnym.

Kryterium popularności nijak nie może więc wiązać się z realną wartością poezji. Ta w swej istocie jest bowiem walką o sens, próbą dźwignania świata – a dźwiganie to nie mogłoby się dokonać, gdyby poezja miała hołdować gustom ogółu. Intuicja poetycka pojawia się wtedy, gdy znikają „zakłócenia i szumy”. Jedynie w ciszy można oddać się pracy duchowej, która wedle słów Kuczkowskiego staje się niemalże synonimem twórczości poetyckiej. Wspomniana „wierność autentycznej linii poezji”, dawanie świadectwa życiu i podejmowanie walki o sens, które powinny stanowić priorytet w dążeniach autora, a także być celem krytyka i interpretatora. Próba poznania danego dzieła poetyckiego, dotarcia do jego istoty i ukazania tejże istoty światu jest przedsięwzięciem godnym realizacji niezależnie od liczby odbiorców.

Maciej D. Woźniak, *„Dźwiganie świata. O poezji Krzysztofa Kuczkowskiego”*, Wstęp do monografii, Instytut Książki, Kraków 2025.

Dokończenie w następnym numerze „Protokołu Kulturalnego”.

Danuta Bartosz

Pod każdym księżycem, pod każdym niebem

Danuta Bartosz: Twój ostatni, wydany w 2021 roku tomik poezji nosi tytuł „Azjatka z Sarmacji”. Skąd to skojarzenie?

Danuta Zasada: Na tomik składają się wiersze pisane pod wpływem doświadczeń zdobywanych głównie w czasie zamieszkiwania przez mnie w Japonii i w Mjanmarze (Birmie). W każdym z tych krajów starałam się zbliżyć do danej kultury, zauważyłam jednak, że niepodobna wyzbyć się całkowicie spojrzenia, jakie wynosi się z kraju urodzenia i wychowania. Zarówno Azjatka, jak i Sarmatka to oczywiście konstrukty poetyckie, kiedy jednak piszę, że „świątynne mnie pogryzły komary/ niech im będzie na zdrowie, rzadko mogą pić krew prosto z Sarmacji”, mówię o tej mojej optyce, obecnej najczęściej implicite, w moich wierszach.

DB: Studiowałaś iberystkę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jak to się stało, że iberystka zmieniła się w Azjatkę?

DZ: Zanim znalazłam się w Azji, przez ponad sześć lat mieszkalam w Madrycie. Dla mnie była to wspólna okazja do poznania z bliska kultury będącej przedmiotem moich studiów. Miałam wówczas okazję zetknąć się ze sławnymi twórcami hiszpańskimi: poetą i krytykiem Carlosem Bousoño, dramaturgiem Francisco Nieva, poetami José Hierro i Francisco Brinesem, a także z przedstawicielami starszej i młodszej Polonii, która tworzyła kulturę na styku Polski i Hiszpanii. Mój skromny wkład polegał na pisywaniu do wydawanego przez Andrzeja i Danutę Dworskich w połowie lat dziewięćdziesiątych pisma POLONIA oraz współpracy z pismem „Ciudad Escolar y Universitaria”, gdzie prowadziłam „Kącik poezji polskiej” w języku hiszpańskim.

DB: A potem losy rzuciły Cię do Azji?

DZ: Tak, potem wraz z mężem byliśmy wysyłani na kolejne misje w polskich ambasadach pozaeuropejskich. Pobyt w Indiach, prócz tego, że miałam tam bardzo ciekawą pracę polegającą na kontaktach z indyjskimi dziennikarzami i ludźmi kultury, spowodował, iż doznałam oszołomienia z powodu bogactwa kulturowego tego olbrzymiego kraju. Zebrałam swoje refleksje w tomiku „Pogański mistyk”. Później była Japonia i kolejne olśnienie, a potem Mjanmar (Birma). W każdym z tych krajów próbowałam uczyć się języka. W Japonii przydał mi się hiszpański, gdyż prowadziłam tam badania wśród imigrantów powrotnych z Ameryki Łacińskiej pod kątem mego doktoratu z antropologii społecznej. Obroniłam go w 2013 roku na Uniwersytecie Warszawskim.

DB: Zapewne w każdym z krajów, w których mieszkłaś, życie wyglądało inaczej. Jakie doświadczenia wspominasz najlepiej, a jakie były najtrudniejsze po przyjeździe i w czasie pobytu poza Polską?

DZ: W Japonii takim bardzo traumatycznym doświadczeniem było wielkie trzęsienie ziemi w marcu 2011 roku. Pracowałam wtedy na górnym piętrze ambasady. Na metalowym biurku miałam wielką donicę z jakimś drzewkiem. Gdy nastąpiły wstrząsy, wskoczyłam pod biurko, a ta wielka donica spadła z hukiem na ziemię. Zatrzasnęły się też

stalowe drzwi od mojego pokoju. Gdy wstrząsy ustały, wyszłam na korytarz i zorientowałam się, że wszyscy moi koledzy zbiegli po schodach na dół. Budynek przetrwał na szczęście bez szwanku. W tamten piątek stanął transport miejski. Tokio sprawiało wrażenie, jakby wybuchła wojna. Ludzie szli pieszo z pracy do domu, na ulicach były tłumy. Ze sklepów zniknęła żywność. Racjonowano wodę butelkowaną. Nastąpił długi i stresujący okres, gdyż spodziewano się wybuchu reaktora elektrowni atomowej w Fukusimie. Przez kilka tygodni śledziliśmy w napięciu poziom radioaktywności. Osoby z dziećmi zostały ewakuowane poza Tokio. Po tym zdarzeniu byłam o wiele ostrożniejsza w wypuszczaniu się pociągami daleko od stolicy. Pierwsze w swoim życiu trzęsienie ziemi przeżyłam, co prawda w New Delhi w Indiach, ale to było o wiele silniejsze – po czymś takim zyskuje się pewną dodatkową wiedzę na temat samej siebie i swojej odporności na stres.

DB: Czy próbowałaś pisać haiku?

DZ: Tylko do momentu, kiedy przeczytałam szczegółową krytykę jednego ze słynnych haiku autorstwa któregoś z wielkich poetów japońskich. Haiku piszą dwie osoby w jednym: poeta i malarz. W europejskim języku prawdziwego haiku stworzyć niepodobna. Czasem półżartem mówię, że jedynym polskim autorem haiku jest Miron Białoszewski, który napisał: „Wyglądanie przez pręty” / ebo / ężyc”.

DB: Czy próbowałaś pisać haiku?

DZ: Tylko do momentu, kiedy przeczytałam szczegółową krytykę jednego ze słynnych haiku autorstwa któregoś z wielkich poetów japońskich. Haiku piszą dwie osoby w jednym: poeta i malarz. W europejskim języku prawdziwego haiku stworzyć niepodobna. Czasem półżartem mówię, że jedynym polskim autorem haiku jest Miron Białoszewski, który napisał: „Wyglądanie przez pręty” / ebo / ężyc”.

DB: Jak wygląda to niebo, ten księżyc z perspektywy różnych światów, innymi słowy, czy jest coś, co łączy nasz wszystkich, bez względu na to, pod jakim niebem przyszło nam mieszkać?

DZ: Wydaje się, że to, co jest nam wszystkim wspólne, to pragnienie bezpieczeństwa i posiadania jakiegoś minimum pozwalającego nam egzystować; to posiadanie ograniczającego nas ciała przy dążeniu do czegoś wyższego, czegoś, co nas przekracza. Pewnie też dążenie do wolności. Chyba tych kilka punktów, które wymieniłam, możemy spotkać pod każdą szerokością geograficzną, pod każdym księżycem i pod każdym niebem.

DB: Dziękuję za rozmowę.

Jerzy Grupiński

Wigilia 2025

Siano oj siano
w żłobku
sianko jak lelija
Ręce do nas wyciąga
przetracone połamane
Boża Dziecina
Pewnie był tam
gdzie była Ukraina

XII 2025
na Dolinie

Arkadiusz Morawiec

Laudacja

„Życie na krawędzi” kojarzy się z niebezpieczeństwem, ryzykiem, a także śmiercią. Tom poetycki Stefana Pastuszewskiego, zatytułowany Na krawędzi, to jakby relacja z bycia wciąż – cytuję tu autora – „po naszej stronie, jednak jeszcze naszej”. Ten zbiór refleksyjnych wierszy to równocześnie spoglądanie wstecz i rozglądanie się dokoła, próba złożenia obrazu z rozsypanych szkieł kalejdoskopu, to scalenie chłopca z „zadartym nosem i świdrującymi brązowymi oczkami” z 70-letnim mężczyzną, zadającym pytanie o sens bycia. Świat wyłaniający się z wierszy to świat tysięcy doznań, doświadczany (niekiedy boleśnie) przez lata, który – już w późnym wieku życia – poczyną się wymykać, prowokując pytania o celowość wszystkiego, w czym się uczestniczyło i uczestniczy. I ewentualnie tego, co czeka poza „krawędzią”. Jeśli w ogóle czeka... Jest to poezja podejmująca temat „mijania się z życiem”. Ale jest w niej coś jeszcze, bodajże ważniejszego. Mam na myśli – jak ujął to autor – „radość miłości”. Zawarte w tomie liryczne notatki „ze wspólnego zamieszkania”, bycia ze sobą, są pełne czułości. Jeżeli nawet poza krawędzią jest pustka, to właśnie te prawie erotyki zdają się jej zaprzeczać; pisze poeta: „można być blisko, a w rzeczywistości być daleko; być daleko, ale być blisko”. Dwa zatem królewskie tematy literatury zbiegły się w tomie Na krawędzi – miłość i śmierć, z których ta druga jest nieuchronna, pierwsza zaś – możliwa i w ostateczności gwarantująca (jakiś) sens. To jedynie w miłości zdaje się tkwić nadzieja. Tom Na krawędzi jest spójny, jak rzadko dziś zdarza się we współczesnej poezji. Cechuje go przemyślana kompozycja i pogłębiona refleksja. Stefan Pastuszewski sugestywnie i efektownie – jak sam powiada – „zabiera swoimi słowami ten świat”.

Stefan Pastuszewski, „Na krawędzi”, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2024.

26.09.2025 w gmachu Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Bydgoszczy na Starym Rynku odbyło się coroczne wręczenie nagród Strzały Łucznickiej w dziedzinie literatury za rok 2024. W kategorii poezja nagrodę otrzymał dr Stefan Pastuszewski za tom „Na krawędzi”

Stefan Pastuszewski

* * *

wyłął się we mnie anioł samozniszczenia
jeden przyjaciel zapił się na śmierć
drugi...
mówimy krótko
i milczeniem
nie chcemy seplenić
i budzić rano bóla kolana
bo to takie niehumanitarne
niczego już nie chcemy
anioł samozniszczenia dojrzewa do czynu
wkrótce wykreśli nas z rejestru
gotowych do startu
w brzask
pozostaniemy bez wzroku i słuchu
bez siebie czyli bez wyciągniętych dłoni
ludzie całkowicie wewnętrzni

on
ten anioł z nas

wieczna mgła



Harkaitz Cano, urodził się 4 sierpnia 1975 w Lasperte Oria (Kraj Basków). Poeta, również autor powieści i opowiadań, tekstów dla dzieci, dzienników podróży, kronik reporterskich, esejów i artykułów dla prasy literackiej, scenariuszy filmowych i przekładów literackich. Uznany przez krytyków literatury w Hiszpanii za jednego z najważniejszych poetów i pisarzy baskijskich ostatnich dekad piszącego w języku baskijskim (euskera). Jego pełną ekspresji dykcję poetycką zwykło się określać w Hiszpanii mianem „brudnego realizmu”. Laureat najbardziej znaczących w Kraju Basków nagród literackich, takich jak: Nagroda „Euskadi” 1992, Nagroda „Donostia Hiria” 1993, Nagroda „Ignacio Aldekoa” 1998. Na zlecenie baskijskiego Instytutu Promocji Literatury i Kultury Baskijskiej wiersze poety, tłumaczone po raz pierwszy na język polski przez piszącą te słowa, ukazały się w formie publikacji książkowej we Wrocławiu, pod redakcją Ireneusza Grina, w roku 2016.

Barbara Stawicka-Pirecka

Most

Tak naprawdę, i wiedząc, że to prawda,
mosty nie istnieją; ten, który widzę
chciałby pieścić dwa brzegi
ostrożnie, jak ktoś, kto utrzymuje równowagę
stając na czubkach palców.
Ale most jest tylko
gestem wygrawerowanym w kamieniu;
mimiką przerażenia
powietrzną
i zwiewną.

Bezpośrednie pochodzenie gwoździ z mostu Williamsburg

*Widziałem go, jak pożywiał się przy ulu
po tym, jak go ukrzyżowali
Ezra Pound*

Gest jaki wykonał ręką
I maca, zrezygnowany, palcem prawej ręki
obolałą dłoń swojej lewej ręki.
- To prawda: jestem Bogiem, proszę was,
nie patrzcie na mnie w ten sposób.
Jestem spragniony, podajcie mi coś,
by przynieść ulgę gardłu.
To jakby strzała przeszywała mi szyję.

Nikt z obecnych w barze nie podał tego
w wątpliwość.
We wnętrzu jego dłoni wciąż jeszcze krwawiły
w żywym mięsie, dziury jakie wyszarpały
gwoździe.
Później, podnosząc głos, łagodnie się
zarumienił
tak jakby syn skromnego stolarza
nie narodził się po to, by polecenia wydawać
:
- Wyślijcie trzech lub czterech młodzieńców
do doliny

Kto wie, może jeszcze do czegoś
może przydać się to drewno krzyża:

jakiś koniczek, kołyska, czółno jakieś.
Czy ja wiem. Cokolwiek.

Ogród zoo nielogiczny

Już przybyła. I jest najbardziej inteligentnym
ssakiem,
jaki podarowała nam
Matka Natura:
to amnezja

Nowicjusz

Patrzy na te domy z tektury, jakich domaga
się ziemia
przez wnętrza dłoni.
Linia nieregularna, zasłony w cieplarni,
Dziesiątka na loterii zagubiona na
podmurówce pieca węglowego.
Te domostwa są dla sztuki budowania
tym, czym noclegownie na poboczach
autostrad:
niecierpliwością, brakiem stylu, prowizorką.
Patrzy na te domy, jakie ziemia tak nazywa
z litością

i żalem.

Czasami wziąłbym je w swoje ręce, jak kości
do gry,

i skruszyłbym jeden o drugi,
jak orzechy zamieszkałe przez ludzi.
Dziewczyna w oknie
suszy włosy pod kątem dziewięćdziesięciu
stopni;
są to delikatne i długie kosmyki i powoli
suszy je - kępka za kępką -
a może zamierza tam również suszyć
bieliznę?

Ta kobieta, to okno.
Ale jak się dobrze zastanowić, lepiej niech tak
już zostanie.
Zostaw w spokoju te orzechy, co urosną
z czasem.

Zapomnij, co powiedziano.
Wolę nie rozsuwać żadnej zasłony i nie rzucać
kości.
Tylko nowicjusze ekscytują się ludźmi.

Ogród zoo nielogiczny 2

Z powodu nieobecności spojrzenia
i niemożności skierowania go do wewnątrz,
Z powodu nadmiernego rozmyślania o tym,
musiał zakreślić spiralę wokół ślimaka.
Sprawa pancerza, to coś, co wszelki gatunek,
pokornie przyjmuje i z wdzięcznością.
Konsekwencja rozwoju naturalnego.
Inna jest jednak, największa zemsta ślimaka:
mieć coś, czego nie ma rywal, nie mieć żad-
nego podobieństwa...
Ach, choćby nie wiadomo jak bardzo był
Królem Dżungli,
nie widziano jeszcze żadnych schodów
w formie lwa.

Przekład:

Barbara Stawicka-Pirecka

Andrzej Wilowski

Trzy muzy Bułhakowa

10 marca 2005

Michaił Bułhakow, genialny pisarz rosyjski miał szczęście umrzeć we własnym łóżku. Stało się to 10 marca 1940 roku. Czuwały nad nim jego muzy. Wielu pisarzy i artystów radzieckich kończyło swoje kariery w łagrach. Szalejące w latach trzydziestych czystki nie oszczędzały nikogo, nie chroniły zaszczyty partyjne, nagrody i przyjaźnie z członkami Komitetu Centralnego, dla miernot była to okazja pozbycia się konkurencji. Bułhakow miał wielu cichych „wielbicieli” w Związku Literatów, którzy donosili o niejasnych poglądach, braku postępu w pracach literackich i nie dających się określić zajęciach pisarza. Kolejne rękopisy wydawnictwa odrzucały, a cenzura konfiskowała całe teksty. Jakby tego było mało, sam Bułhakow w połowie lat trzydziestych rozpoczął oficjalne starania o pozwolenie na wyjazd za granicę.

Jak uchronił się przed represjami człowiek starający się o pozwolenie na emigrację, lekceważący wytyczne partii dla literatów, piszący tak, jakby nie było cenzury, czasem jawnie kpiący z władzy? Nikt rozsądny nie odważyłby się w 1937 roku złożyć w wydawnictwie sowieckim politycznej groteski ośmieszającej system, bez kamuflażu i aluzji. Powieść „Fatalne jaja”, o której tu mowa, ukazała się po pół wieku. Mało kto o niej wiedział i dziś nie jest znana, natomiast nikt, kto interesuje się literaturą, nie powie, że nie czytał powieści „Mistrz i Małgorzata”. Powieść ta w plebiscycie „Kanon XX wieku”, przeprowadzonym w 2000 roku przez polskie gazety, została przez czytelników uznana za najwybitniejsze dzieło stulecia.

Uznanie władz sowieckich i samego Stalina dla pisarza nie wiązało się z tą wielką powieścią. Debiutancka powieść „Biała gwardia” zapewniła Bułhakowowi do śmierci pozycję wybitnego pisarza radzieckiego, zaś samego Stalina zachwyciła sztuka „Dni Turbinów”. Dramat masakrowany przez cenzurę, spływany przez reżyserów, urzędników resortu kultury, topiony w nudnych kreacjach aktorskich był najdłużej i najczęściej graną sztuką w radzieckich teatrach. Prawdopodobnie wpłynęła na to opinia samego wodza rewolucji.

Zarówno „Biała gwardia”, jak i losy Turbinów nie przedstawiają rewolucji w czarno-białych kontrastach. Rewolucja i wojna domowa dla Bułhakowa to bezsensowne rzezie, za które obie strony były w równym stopniu odpowiedzialne. Dawny system stał się anachroniczny, państwo ulegało rozpadowi, a nowe siły rewolucyjne miały tylko pomysł na walkę, a nie budowanie nowego ładu. W tym wszystkim jednostki przywiązane do jakichkolwiek wartości próbują ocalić swoje człowieczeństwo i bronić zasad.

Co mogło zaimponować Stalinowi? Wszak to same grzechy wobec nowej wiary, a i autor klasowo podejrzany, inteligent z burżuazyjno-klerykalnej rodziny. Toż to idealny kandydat na klasowego wroga, zacierali łapki siepacze czekał, ale wódz chwalił za odwagę, humanitaryzm i przenikliwość. Owe pochwały miał udzielić Stalin pisarzowi osobiście i obiecał mu wezwanie na kolejny

spotkanie, szczerą rozmowę, krytyczne uwagi i partyjną spowiedź przed ojcem narodu co do dalszych planów pisarskich. Do drugiego spotkania nigdy nie doszło, bo Stalin miał ważniejsze sprawy na głowie, nieuchronnie zbliżała się wojna.

Na Bułhakowa przez całe życie miał wpływ kobiety. Młody absolwent medycyny, wrażliwy, popadł w czasach głębokiego kryzysu i wojny domowej w narkomanię. Z nałogu wyrwała go pierwsza żona Tania, ona zachęciła go też do pisarstwa. Bułhakow porzucił więc plany kariery lekarskiej. Kompletnie uzależniony od morfiny nie mógł wykonywać zawodu lekarza, uległ całkowicie nałogowi, bowiem w narkotycznych wizjach spодziewał się literackich inspiracji. To one miały mu dostarczyć pomysłu „Ewangelii według Szatana”. Jednak zawód pisarza wymagał dyspozycyjności i intelektualnej sprawności, więc podporządkował się restrykcjom żony, ograniczającej dostęp do narkotyku. Postanowili szukać szczęścia w Moskwie. Sukces przyszedł niespodziewanie. Teatr Akademicki poszukiwał współczesnej sztuki

Nagle autor „Dni Turbinów” stał się ulubieńcem moskiewskich salonów. Odurzony sukcesem rozstał się z żoną. Chciał rozpocząć nowe życie. Tak jak kiedyś prześladowały go narkotyczne wizje, dręczyły go wyrzuty sumienia wobec Tani. Obawiając się, że urodzi ułomnego potomka, dokonał aborcji, niemal jej nie uśmiercając i trwale okaleczając.

Zainteresował się popularną tancerką Lubow Bielewiecką. Druga żona wprowadziła go w świat artystyczny. Kontakty z ludźmi teatru skłoniły go do pisania dramatów. Niestety nie wiemy, ile ich powstało, bo tylko jeden był grany za życia pisarza

W powieści Aleksandra Czajanowa opisującej Moskwę w czasie rewolucji „Wieniediktow, albo historia mojego życia” odkrywa tajemniczą postać, studenta nazwiskiem Bułhakow, który miał zawrzeć pakt z diabłem. Dla Bułhakowa pisarza brzmiało to jak proroctwo. Przypomniały mu się dawne wizje, apokalipsa rewolucji i powziął zamiar napisania prozy na kanwie dzieł Chrystusa.

Trzecia żona Helena Nurnberg była mułą i opiekunką. Sam Bułhakow podkreślał to wielokrotnie, że to właśnie ona była inspiracją dla tytułowej Małgorzaty i przez lata wspierała go w pracy nad życiowym dziełem, chociaż oboje zdawali sobie sprawę z tego, że powieść nie ma szans ukazać się drukiem w Związku Radzieckim. Czekala na druk ponad trzydzieści lat, a to, że ją wydano, było dziełem przypadku, ponieważ nawet w epoce Chruszczowa cenzura miała sporo wątpliwości, czy nadaje się do publikacji. Prawdopodobnie nie jest to ostateczna wersja autorska, bowiem opublikowano tylko część obszernego rękopisu. Bułhakow pozostawił wiele tekstów w rękopisie, sporo z nich nieukończonych. Niestety los ich nie jest do końca znany. Mimo wszystko, gdyby nie trzy jego muzy, nawet tych kilka dzieł nie ocalałoby dla potomności.

Kiedy rozpoznano u niego chorobę, której skutkiem była niewydolność nerek, miał świadomość, jak będą wyglądały ostatnie miesiące jego życia. Chudł, miał coraz mniej sił, tracił wzrok. Musiał się spieszyć, aby ukończyć życiowe dzieło. Uzupełniał rękopis i wprowadzał poprawki, dyktując je żonie. Prawdopodobnie nie wszystkie uwzględniła. W ostatniej wersji Woland opuszczając stolicę Związku Sowieckiego miał powiedzieć do swojej swity - „Nic tu po nas, skoro w Moskwie jest Stalin. On zrobi resztę”.

Arkadiusz Aulich

Poeci przekłęci – między światłem a otchłanią

Mit poety przeklętego – poète maudit – to jeden z najbardziej kuszących i zarazem najbardziej zgubnych tropów w historii literatury. Od Françoisa Villona, poprzez Georga Trakla, Charlesa Baudelaire’a, Arthura Rimbauda, Paula Verlaina, Silię Plath, aż po Polaków – Rafała Wojaczka, Edwarda Stachurę, Andrzeja Burzę, Ryszarda Miłczewskiego-Bruno, Kazimierza Ratonia. Wszyscy stworzyli figurę artysty, który żyje i umiera w imię sztuki, pogrążony w cierpieniu, rozpacz i buncie przeciwko całemu światu. Ich poezja, choć olśniewająca, wniosła do wyobraźni zbiorowej niebezpieczny model twórcy, przekonanego, że prawda poetycka musi rodzić się z bólu, a destrukcja jest źródłem natchnienia.

Swego czasu pewien wrocławski poeta zamieścił w mediach społecznościowych swoje zdjęcie z obrażeniami twarzy. Szacowny poeta szczylił się tym, że przeszedł przez witrynę sklepową. Ten czyn był ukłonem w stronę jego idola, muzy – Rafała Wojaczka.

Skłonności do utożsamiania się z poetyckim guru oraz z własnym podmiotem lirycznym są szeroko opisywane przez psychiatrów.

Mój kontakt z poetami przekłętymi to była nie tyle lektura, co inicjacja. Ich poezja otworzyła drzwi percepcji, oczyszczając i niszcząc zarazem. Podążałem za nimi, wchodząc w dialog z własnymi bólami i demonami. Podobnie jak wielu młodych, zagubionych ludzi, utożsamiałem się z poetami przekłętymi, ofiarami-bohaterami, takimi jak Rafał Wojacek. Nie robiłem tego z próżności, lecz faktycznie czułem się jego lustrzanym odbiciem. Może brakowało mi męskich wzorców? A może w ten sposób rekompensowałem sobie niepowodzenia, romantyzowałem je? A może to był po prostu młodzińczy bunt?

Nie przechodziłem przez szyby, nie skakałem z wysokich pięter – (mam lęk wysokości). Moja autodestrukcja przybrała inne formy igrania ze śmiercią, będąc zarazem krzykiem o sens, którego nie sposób byłem odnaleźć w prozie codzienności. To, co miało być prawdą o ludzkiej duszy, stało się usprawiedliwieniem dla ryzykownych zachowań.

Dopiero scena z filmu „Wojacek” Lecha Majewskiego, w której główny bohater zażywa – sporą dawkę psychotropów, otrzeźwiła mnie. Przystałem utożsamiać się z Wojackiem i podobnymi mu ofiarami-bohaterami. Dostrzegłem bezsens samobójczej śmierci, zacząłem cenić życie.

Teraz widzę, czego kiedyś nie umiałem dostrzec – możliwość wzrastania jako człowiek i artysta. Zamiast destrukcji wybrałem bezpieczeństwo, głębsze, świadome życie.

W swojej twórczości długo nosiłem cień młodzińczych idoli. Poeci przekłęci potrafią uwieść. Ich melancholia jest zmysłowa, a destrukcja szlachetna. Ale to złudzenie. Ich wielkość, choć niezaprzeczalna, potrafi być toksyczna, uzależnia od cierpienia jako jedynej prawdy o świecie.

Dziś rozumiem, że ich negatywny wpływ polega nie tyle na tym, co pisali, lecz na tym, jak zostali zmitologizowani. Ich legenda – romantyczna, tragiczna, buntownicza, przysłoniła sens poezji

jako aktu porozumienia. Zamiast dialogu, oferuje monolog bólu. Będąc we władaniu poetów przeklętych, łatwo zapomnieć, że sztuka może również leczyć, nie tylko ranić.

Dziś, pisząc, staram się odzyskać własny głos – wolny od tamtego wampirzego uroku. Poeci przekłęci nauczyli mnie wiele o głębi ludzkiego doświadczenia, ale też o jego granicach. Ich dziedzictwo jest jak ciemne lustro, które odbija to, co w nas najbardziej szczere, ale i to, co najbardziej destrukcyjne. Patrząc w nie, trzeba wiedzieć, kiedy odwrócić wzrok.



Tadeusz Zawadowski

imperia

wpatruję się w morze i katem oka

dostrzegam
wszystkie stoczone tu bitwy. zatopione
okręty chłapiące się swym orężem. karawele
zwożące bogactwa z nieznanym lądów. tak
rodziły się imperia i rozpadały się niczym

zamki
z piasku. spoglądam na bawiące się obok
dzieci

z uporem wznoszące kolejne

imperia.

Marek Bocian

Ciepło dłoni z odzysku

Debiut

Stanislaus Nowak ur 1887 r
Wielkopolska Zabór pruski
Kolejarz manewrowy Rękoma wyznacza
kierunek toczenia składów
Żołnierz 10 Komp. Regiment 51
Trzymają go w garści
Rozgarnia szron okopów
obsługuje radiostację

Gefrajter
Ranny 15 marca 1915 r opodal Baranowicz
Odprowadza mnie do Przedszkola w 1964
Ciepła rączka w jego lodowatej dłoni
Za pazuchą skrywa gliniaste groby
Milcząco przez miasto
Wtedy /nierozumiany/ zbiera złom
ze śmietników Sprzedaje Kupuje
leberwurst w pobliskim sklepie
W domu skwierczy westfalka

Jak ta mała dziewczynka
w pustym świecie
mały chłopiec pozostawiony
wślizguje się nad ranem
do opuszczonego łóżka
gdy zrywają się do wczesnej pracy
chłonie ich ciepło błaga
aby nie umarli

Marek S. Podborski

Modlitwa

W każdym razie bądź
nieprzedawniony Boże

Nie znudź się nami
mimo wszystko w otchłani

Siłą rzeczy nie przestań
nas chronić przed sobą

Choć uciekam do piekła
i wyprawiam skóry

A bał wielki Baalem
podpieram sklepienie

W siarczyste płomienie
i boli

Celina Lesiewicz

Gorączka

Nie sądziłam, że jesteś, istniejesz, będziesz.
Jedynym duchem przenikającym moją siłę.
Jedynym, którego się boje i nie boję.
Energia, motywacją, koniecznością.
Gdy odchodzisz, zaśmiecą głos
więzieniem twardości i uporu
Karma spełnia się jędrnym ciałem,
głodem przytulenia.
Żywym, nie dotkniętym tematem
jest dotyk – szept wypełniający
Potrzebuję cię
Dążenie i Droga zgubią się
impotencją rozdzielenia.
Nie osiągniemy Pełni.
Łagodnie przystępują dni
oznaczania tęsknoty
w kolejnej planecie myśli.
Przyjdź, kochany.
Teraz.
Proszę.

Maria Ciałęła

od-nowa

odrywam przeszłe dni
przyłgnęły mocno
odsuwam myśli
tarasują przejście

otwieram i zamykam drzwi
nie zatrzymuję chwili
dotyk nie pozostawia śladów

mówię dzień dobry
i do widzenia
z uśmiechem tego który wie
odchodzę za -
istnieć

Grzegorz Borowiec

* * *

Tylko imigranci
rynek pracy i rynek nieruchomości
podpalenia niewiadomego pochodzenia
bitwa polsko-polska
oraz globalne ocieplenie

A ja tutaj mam
naprawdę ważne sprawy
na przykład czy kot się obrazi
jak wrócę godzinę później
lub czy opakowaniu będzie smutno
jeżeli wyrzucę je na śmietnik

Barbara Gryglewicz

Komediantka odchodzi....

Dla Joanny Kołaczkowskiej

Widownia pełna,
światła nie zgasły.
A Ciebie nie ma.
Pusta scena, cisza!
Śmiech zawisł na aksamicie kurtyny.
Za nią ciemno...
„Nie udało mi się”, śpiewałaś niedawno.
Nie wiedziałaś, że to może o Tobie
Widownia czeka!
Porzuciłaś nas? Pyta...
Jak to możliwe Komediantko?
Śpiewałaś „Song porzuconej”.
To było przedstawienie, gra.
A teraz?
Baw, rozśmieszaj zastępy anielskie
Komediantko!
I nie daj nam spoważnieć!

Dagmara Kacperowska

reszty nie trzeba

wszyscy jesteśmy tylko trochę
i na chwilę.
w pośpiechu rozmieniamy się
na wszelkie możliwe apki i zdrapki,
których nazwy brzmią równie dekadentcko,
jak kredyt hipoteczny, czy konsolidacyjny
(choć podobno ktoś miał na myśli
zrównoważony rozwój dla niezrównoważo-
nych).
w pośpiechu mijamy się, nadajemy dzieciom
imiona i pozwalamy im zjeść
ostatnią mrożonkę.
aż może ktoś w końcu zapragnie
stać się prawdziwym człowiekiem
i jak Chrystus zawołać z dachu wieżowca:
keep the change,
brachu!

Róża Pisarczyk

czarne okno

z obietnicami za pan brat
spoglądam w czarne okno zimy
mróz roztrząskuje gwiazdy dat!

pewnie się już nie zobaczymy - - -

Romana Cegielna-Szczuraszek

24.05.2024

niedobrze
gdy ktoś do ciebie tęskni
to znaczy że nie chcesz
albo nie możesz poświęcić mu czasu
pytanie dlaczego tęskni do czego
do całego ciebie czy tylko fragmentu
zwanego ciałem
w żadnym przypadku
nie wolno się przywiązywać
ani do osoby
ani do myśli
wcześniej czy później
rodzi się z tego zwykle
zwykle rozczarowanie
tęsknoty należy usypiać
jak ślepe mioty kociąt
żeby nie cierpiały
w podłym życiu
pośród okrucieństwa
ludzi

Krystyna Wojciech-Ratajczak

Dali mi karabin

Dali mi karabin
Teraz on moją kochanką
Tulimy się w okopach
Noc rozjaśnia nam
Gwiazdy eksplozji

Groteskowe widma
W szkarłaty przybrane
Pełzają, przemykają, skradają się
Drażniąc oko Ziemi
Żeby zniknąć
W cichości oparów
Los przyczajony
Nie wiedzieć komu
Dany po kryjomu

Wiara z nadzieją
Wolność rodzi
Skiba po skibie
Polskę

Krzysztof Gołębiewski

Po stronie pęknięcia

Nowa książka Marka S. Podborskiego, poety i redaktora działu poezji miesięcznika „Akant”, zatytułowana „Szwank” (Wydawnictwo Magenta, Bydgoszcz 2025), jest dziełem ambitnym, bardzo obszernym i niejednoznaczным. Sam tytuł, lapidarny i pozornie prozaiczny, okazuje się kluczem interpretacyjnym do całości: „szwank” oznacza usterkę, uszkodzenie, coś, co nagle przestaje działać. W poetyckim imaginarium Podborskiego „szwank” nie jest jednak tylko techniczną metaforą – staje się nazwą całej kondycji ludzkiej, synonimem egzystencjalnej kruchości, rozpadania się sensów, zawodności pamięci i mowy.

Już pierwsze wiersze tomu, otwierające cykl „Ucieleśnienie”, wprowadzają czytelnika w tę przestrzeń. Biblijni Adam i Ewa, mitologiczne figury Pandory i Prometeusza, archetypiczne obrazy morza, ognia i kamienia – wszystkie one pokazują, że u źródeł człowieczeństwa tkwi pęknięcie. „I tak / zraniłem się w palec / (zrobiłem to specjalnie)” – wyznaje podmiot liryczny w wierszu „Adam”. To ironiczna parodia aktu stworzenia, w której zamiast boskiego cudu mamy gest autoagresji, wprowadzający do świata element bólu i niedoskonałości.

Książka składa się z kilku dużych cykli, z których każdy rozwija inny aspekt doświadczenia „szwanku”. Pierwsze „Ucieleśnienie” to biblijno-mitologiczna geneza. Następujący po nim „Tryptyk” opowiada w bardziej osobistym tonie – obrazy codzienności (dzieci, rodzinnego pejzażu, letnich wakacji) zostają tu zderzone z katastroficznymi wizjami Pompejów i Wezuwiusza. Podborski pokazuje, że nawet intymne doświadczenia podszyte są świadomością końca. Najobszerniejszy cykl tomu, „Zmagania o smoka”, to swoista pieśń walki. Smok, archetypiczny potwór, staje się figurą chaosu, ale i samej poezji – trudnej, odpornej, wymagającej. Powtarzające się frazy, rytmiczne zaklęcia („Płoną zieloności strzały...”) przywodzą na myśl zarówno inkantacje, jak i teksty awangardowe. Podborski walczy ze smokiem słów, który równocześnie go pochłania i karmi.

Kolejne cykle – „Ptaki i węże”, „Ballada o błędnym rycerzu”, „Wrastanie”, „Dzień Hioba” i zamykający całość „Pokój przechodni” – układają się w spiralną podróż. „Ptaki i węże” to dramatyczna opowieść o rozdarciu między wolnością a grzechem. „Ballada o błędnym rycerzu” wpisuje się w tradycję Cervantesa, czyniąc z Don Kichota figurę współczesnego poety, który walczy z chaosem języka niczym z wiatrakami. „Wrastanie” i „Dzień Hioba” przynoszą tonację bardziej wyciszoną, medytacyjną – to refleksja nad cierpieniem i możliwością ocalenia. „Pokój przechodni” pełni funkcję epilogu: człowiek jest zawsze w drodze, nigdy u siebie, stale w przestrzeni przejścia. Ta struktura, choć monumentalna, sprawia, że *Szwank* przypomina poemat totalny – wielogłosowy, rozpisany na różne tonacje, zderzający mit z codziennością, patos z groteską, lirykę intymną z eposem.

Najsilniej obecne w książce są trzy pola tematyczne: Biblia i mitologia, miasto i pejzaż oraz ciało i eros. Wątki biblijne powracają w wielu utwo-

rach: od Adama i Ewy, przez Księgę Hioba, po apokaliptyczne wizje końca. Podborski wykorzystuje te figury w sposób ironiczny, często demaskując ich kruchość. Ewa w jego wierszu nie jest matką żyjących, lecz kobietą z raną przy żebrach, demiurgicznym cieniem. Hiob to figura nie tyle heroiczna, ile osamotniona, świadcząca o tym, że cierpienie nie daje się wytłumaczyć „mądrością filarów”. Mitologia antyczna pojawia się w wierszach „Troja”, „Ku kłom”, „Olbrzym”, w obrazach Pandory czy Prometeusza. To mitologia odarta z majestatu, przedstawiona w zgłiszczach, ruinach, z perspektywy zwykłego człowieka patrzącego na zburzone mury.

Drugi obszar tematyczny to miasto i pejzaż. Choć Bydgoszcz nie jest wymieniana często wprost, pojawia się w tle – w wierszu „Wrze ci ono” jako „bydgoski maj”. Obrazy prowincji, peryferii, „prowincjonalnego grajdołu” czy „wygwizdowa szlam zadupia” są kontrapunktem dla patetycznych odwołań do mitów. To świat małych miasteczek, peryferyjnych dzielnic z ich śmietnikami, tramwajami, placami zabaw – a zarazem przestrzeń prawdziwa, cielesna, bliska. Podborski nie ucieka od brzydoty, wręcz przeciwnie – czyni z niej materiał poetycki. Trzecim wielkim tematem jest ciało i eros. Wiersze erotyczne, jak „Letnisko”, „Gorset”, „Letni parkiet”, „Spełnienie”, są pełne cielesnych obrazów: bioder, piersi, dotyku, nagości. Nie ma tu jednak klasycznego liryzmu – erotyka Podborskiego podszyta jest świadomością rozpadu, przemijania, groteski. „Tańczyła w wannie z gołymi cynamonami” – pisze poeta, zestawiając obraz intymny z językiem potocznym. Eros i thanatos łączą się w jedno: namiętność prowadzi do bólu, a rozkosz jest zawsze podszyta śmiercią.

Największą siłą *Szwanku* jest język poetycki. Podborski konsekwentnie buduje sposób wyrażania się oparty na fragmentaryczności, rytmicznych powtórzeniach, grze aliteracji. Wiersze często przypominają zaklęcia – nie rozwijają narracji, lecz pulsują obrazami, frazami powracającymi jak echo. Ta wielokrotna powtarzalność daje efekt transu, jakby poeta wchodził w stan inkantacji. Podborski chętnie zestawia też rejestry: podniosłe metafory sąsiadują z językiem potocznym, wulgarnym. Taki kontrast tworzy efekt groteski i ironii, ale zarazem odsłania prawdę o współczesnym języku poezji – że nie istnieje już jeden, czysty idiom.

To, co scala wszystkie cykle tomu, to właśnie kategoria „szwanku”. Poezja Podborskiego wyrasta z przekonania, że człowiek i język są istotami zawodnymi. Wiersze są pełne obrazów rozpadu: mostów pokrytych korozją, murów Troi w zgłiszczach, ciała w rozpadzie, słów w ślinie i miazdze. Poezja nie jest tu narzędziem naprawy świata, ale rejestrem jego usterkowości. A jednak w tym doświadczeniu „szwanku” kryje się także nadzieja. Podborski pokazuje, że właśnie w pęknięciu, w kruchości, w niepełności rodzi się sens.

Autor od lat związany jest z miesięcznikiem „Akant”, gdzie publikował wiersze i kształtował swój język poetycki. To właśnie tam pojawiały się teksty, które później weszły do książek: *Plamienie*, *Psalm dni następnych*, *Olbrzym*. „Akant” był dla niego laboratorium, miejscem prób, a jednocześnie platformą dialogu z innymi poetami. Tom *Abra KadaBrda BYDGOSZCZ* (2015) był jeszcze mocno osadzony w topografii rodzinnego miasta. Tam dominowała przestrzeń Bydgoszczy, zapisana w ironicznych i groteskowych obrazach. *Szwank*

natomiast poszerza horyzont – odchodzi od miasta ku uniwersalnym mitom i archetypom. Równocześnie zachowuje cechy rozpoznawalne: ironię, kontrast językowy, skłonność do groteski. Porównanie pokazuje wyraźne dojrzewanie: od notatnika mieskiego i prywatnego ku poematowi totalnemu. *Szwank* staje się summą wcześniejszych doświadczeń autora – i zarazem ich przekroczeniem.

Mocną stroną tomu jest spójność koncepcyjna – cały zbiór podporządkowany jest kategorii „szwanku”. Podborski imponuje erudycją, umiejętnością łączenia mitów, Biblii, codzienności i prywatności w jeden strumień poetycki. Jego język poetycki, pełen rytmu i aliteracji, wciąga czytelnika w hipnotyczny trans. Słabością bywa nadmiar – tom jest bardzo obszerny, a niektóre cykle (np. „Zmagania o smoka”) mogłyby być krótsze. Niekiedy patos przechodzi w sztuczną emfaticzność, a gra groteskowa – w efekt przesady.

Szwank to książka trudna, wymagająca, ale ważna. Podborski pokazuje, że poezja może być miejscem, gdzie spotykają się mit i codzienność, patos i groteska, eros i thanatos. Jego tom to poemat o kruchości człowieka, o języku, który ulega awariom, a jednak wciąż niesie nadzieję. W czasach, gdy literatura często ucieka w prywatny minimalizm, Podborski proponuje projekt odważny – totalny poemat o kondycji współczesnego człowieka. *Szwank* to książka o sile rzeczy niedoskonałych, o poezji, która rodzi się z pęknięcia i właśnie dlatego potrafi mówić prawdę.

Marek S. Przyborski, „*Szwank*”, Wydawnictwo Magenta, Bydgoszcz 2025.

Jerzy Grupiński

Kontakt bojowy pod Strofami

Zanim sięgniemy po drugą, dopiero co wydaną książkę Krzysztofa Gołębiewskiego „*Ludzie tak szybko chodzą*” (Wyd. FONT 2025), wróćmy jeszcze do debiutu poety „*Romans Beaty Stepanoff i inne wiersze*”.

O czym nam mówi, opowiada późny debiut poety, wracającego do pióra...? Wiersze ujęte w jeden blok-cykl, otwiera prowokujący, na granicy tautologii i ryzyka, „Warsztat”: *Nie mogę określić poezji / jest tylko / poezją / aprobatą siebie / możliwości aprobaty / rzeczywistości*. Czytamy dalej „Miejsce urodzenia” zakończone zawieszonym przymkiem „w”. To zabieg destrukcyjny często stosowany, przymek kończący „urwany” wers, przerzucający na czytelnika dalszy ciąg narracji, ułatwiający sytuację narratora... Prezentowane w książce teksty chętnie nawiązują do poetyki *Nowej Fali* i nic w tym dziwnego, skoro ten czas kształtował świadomość poety, jego debiut prasowy i dalsze publikacje.

Wiersz „Komunikat”: *Jak podaje Ministerstwo Poezji w dniu / wczorajszym jednostki metaforyczne / dwudziestej pierwszej zwrotki / im. Konstruktywnego wiersza nawiązały / kontakt bojowy pod Strofami z licznym / ugrupowaniem teoretyków / Po długiej i dusznej bitwie / wycofano się na z góry upatrzone pozycje / wydawnicze i podpisano umowę / dwu-pokojową*. To jeden z tekstów z charakterystycznym poczuciem humoru, sarkazmem, przenoszący w akcje wiersza rzeczywistość

społeczno-polityczną.

kie utożsamienie tekstu z Nr 94/2025/26 komunikatem nowomowy,

Znajdziemy w książce liczne zabiegi lingwistyczne, dodajmy – wielce płodne, skuteczne w słowie, owocujące wieloznacznością, poszerzeniem semantycznego pola: *Nosi się we mnie człowiek / z papieru / nadziany banknotami / zdewaluowanych wierszy / z kopiowym podaniem o dębową / trumnę i twierdzi że chodzi / przede wszystkim / o fakty („*** Nosi się we mnie człowiek...”). [...] Z tego wszystkiego pamiętam tylko / te ciągle pożegnania, jak na dworcu / przed kolejną wielką wojną. Teraz tylko / trzeba będzie ostrożnie obchodzić / kogoś — na okrągło / kolejne rocznice („Romans Beaty Stepanoff”).*

Dominującą tendencją tomiku wydaje się (wskutek „wstydu uczuć”) intymna opowieść o miłości (zgodnie z tytułem książki) zrealizowana (świadczenie!) środkami, słowami, które „odbiegają”, a nawet kłócą się z treścią przekazu. Ten zabieg daje zaskakujące efekty, podnoszące walor książki. *Piszę do ciebie / ten wiersz na brudno / gotowy przepisać się / na nowo wykreślić słowa / i drogę do ciebie [...] („Piszę do ciebie”).* Wiersz-słowo uzyskuje swą autonomię, byt jednostkowy, swoisty „życiorys”, opowiadający przeszłe chwile, a także zamiary, perspektywy na przyszłość. Obdarza nas opowieściami sprzęd lat, realiami, szczegółami, odpryskami rzeczywistości, jak w niżej przytoczonym... *przypadkowo urodziłem się / w Moim Mieście na Mojej / Ulicy na Moim Podwórku / w pelargoniach / blisko tej pani co kiedyś / latem dała mi duże jabłko / blisko tamtej szyby która / się wybiła [...] („Miejsce urodzenia”).* W książce czytamy wiersze zwarte, pozbawione gadulstwa – mimo wprowadzenia elementów fabuły, akcji, teatralnych czasem sytuacji – przy narracji dynamicznej, często zaskakującej. Chętnie i z uwagą przyjmuje czytelnik oznaki aktywności językowej, lingwistycznej – licznie rozsiane w książce. Bohater wersów jest ciągle wśród ludzi. Rozmawia, wchodzi w trudne sytuacje, konflikty. Zapomina, przebacza, pisze wiersze, listy, sięga po kamerę, pisze reportaże, chce patrzeć z różnych miejsc, z dystansu, oczyma innych ludzi, nie tylko swoimi...

Autor częstokroć utożsamia osobowość – ciało narratora, kobiety – z materia, „ciałem” wiersza i krajobrazem. Więc... człowiek-wiersz, ciało krajobrazu, tekstu... Te poetyckie równania, tożsamości znajdujemy np. w wierszu „Park Centralny”: *[...] bo deszcz pada / na wylot / przeze mnie, a w wierszu „Kartka do Joanny”: [...] wystawiasz się tylko cała / w moim krajobrazie [...]*. Te niby poetyckie sprawozdania, listy, komunikaty, prozaizmy, reportaże, komentarze do tekstów prowadzą do refleksji nad językiem mówionym i pisanym. Słowa, które niby nieporadne, nie-piękne, na swój sposób „nie na miejscu” idą do rzeczywistości naszego „tu-bycia”, w której nie zawsze sobie radzimy... Mówimy, piszemy – ciągle pytając, jak w wierszu Tadeusza Wyrwy-Krzyżańskiego, który tylekroć cytowałem „wciąż się przejeżdżając”. Mówiąc językiem tych wierszy książka *Romans Beaty Stepanoffi i inne wiersze* jest (jak można podejrzewać) wreszcie jakąś inną, sporną książką...

Krzysztof Gołębiewski, „*Romans Beaty Stepanoff i inne wiersze*”, Ridero, 2023. Fragment recenzji opublikowanej w „Akancie”, nr 12(2025).

Janusz Urbaniak

O wyważaniu drzwi i samotności

Pojawiła się i jest jak uderzenie obuchem. Siedem lat czekania, bo wiersze powstały dawno, choć – domyślam się – są w nich uaktualnienia. Książka bardzo osobista, szczerza, ekshibicjonistyczna, bo autorka nie unika tematu własnej kobiecości. Ale także demaskatorska i krytyczna na miarę niezależności Edyty Kulczak w środowisku literackim i wiary w to, co robi. Jako redaktor naczelna „Wielkopolskiego Widnokręgu” stworzyła ciekawą platformę wymiany wierszy, tekstów krytycznych, kulturowych, historycznych, która ciągle się rozwija.

W „ho ho!” przekomarza się z czytelnikami i krytykami, proponując jakąś inną postać poezji. Jest w tym zdeterminowana, choć w „Pętli 48” rzuca: „a Jerzy [Grupiński – red.] mówi strach te pętłe nagradzać bo są dziwne i jeszcze się okaże że są wygłupami!”. Ale to świat stał się zwariowany, bo słowa tłamszą obrazki, bo upadają językowe zwyczaje i topimy się w bezmyślnym potopie wierszy. Niektóre wydawnictwa, którym się płaci, mogą wydać wszystko, a Facebook to otwarte wrota dla każdego śmiałka. Kto głośniejszy i bardziej mobilny ten panem (panią) szklanej bańki i hodowli lajków. Dlaczego więc o tym nie napisać?

Edyta Kulczak zapowiadała, że interesuje ją jakaś forma komiksowości. Jej wierszom z nadmiarem treści i niejednoznacznością towarzyszy drugi plan, warstwa graficzna, której autorem jest malarz Witold Zakrzewski. Powstał melanż, który wpisuje się w nurt performatywny. No choćby: „(...) – w tej pętli zadanie dla Czytelnika – z podanych wyrazów ułóż wiersz po polsku, możesz oczywiście odmieniać wyrazy (...)”. Tego typu propozycji jest wiele, by czytelnik poezji – jakże szczątkowy, wymierający – nie znużył się potoczną lekturą.

Autorka pisząc rozmawia ze sobą, wchodzi w autotelicność. „najgorzej jest gdy przy pętli 8 chcesz – co jest znaczące wrócić do początku i zobaczyć co pisałaś w pierwszej”. To tak jakby jej wiersze same mówiły do siebie, były żywymi, reagującymi organizmami. „Pętlę 37” i „Pętlę 38” podaje w dwóch wersjach. To nie błąd – podpowiedzią może być odmienna grafika czy owo powtórzenie. Ten i inne pomysły świadczą o brulionowości książki, naturalności strumienia wierszy, łapaniu tego, co przychodzi samo, a nie zostało wymyślone. O tym, że to, co przeżywane autentycznie jest poznawczą nieuchwytnością i szkicem ledwie czegoś trwałego, czego właściwie nie ma lub pozostaje ukryte.

W tym tomie nic nie jest pewne i oczywiste: „(...) a zapytacie skąd pomysł na pętle odpowiedź nie wiem (...) pętle tworzą się same gdy błądzisz po omacku w splątanych oczekiwaniach wobec wszystkiego i modnej filozofii by ich nie mieć lub za chwilę mieć”. Tak, nie ma tu mentorstwa i ogłaszania prawd obowiązujących, jest bezbronność wobec materii poznania, z którą jakoś trzeba sobie radzić. Stąd ironia, samonegowanie

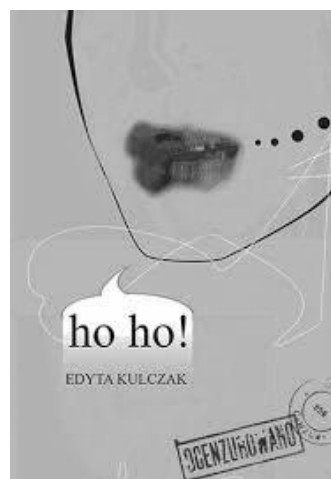
i komentarze podważające powagę tego, co zostało napisane, odwaga żartowania z siebie piszącej, bo poezja jest ważna, ale nie wiadomo, czy cokolwiek rozwiązuje. Jest przymusem dla najzdolniejszych i płochą nadzieją dla tych tysięcy, którzy się uparli się, żeby stanąć w szeregu tworzących niepotrzebnie. Poetka nawołuje do naturalności i mówienia wprost (choć niekiedy zamazuje wypowiedzi), godzi się na wulgaryzmy, które zresztą łagodzi jej językowy wdzięk. Jakby chciała powiedzieć, że w końcu tak też mówimy (skrycie), a wiersz, by przetrwał, musi sięgać do tego, co żywe i niekonwencjonalne. Inaczej umrze. Stempel „ocenzurowano” na okładce wskazuje, że można by jeszcze śmiać się, choć to także rodzaj zaczepki wobec tych, którzy książkę mogą kupić.

A z drugiej strony – wiersze pisane naturalnym, pełnym liryzmu językiem. Długo krążące w myślach po przeczytaniu...

Równoważnym tematem tomiku jest spotkanie kobiecości z tym, co męskie. Naszkicowanie dwóch światów, które nie umieją się przeniknąć. Niezwykła jest sceneria opisywanej intymności – noc, pół sen i pół czuwanie, w zasadzie samotność, smartfon, który można wyciszyć, ale i sprawdzić, czy coś nie przyszło – od niego. I ona, wykreowana przez poetkę kobieta (wykreowana...?). Odnosi się wrażenie, że męczyzna składa się tutaj z wielu postaci, a ona jest jedną bolącą wrażliwością, która nie umie uciec od zaznanej zdrady. Ma w sobie wiele blizn. Rozgląda się, szuka, próbuje uwierzyć. W swojej kobiecości jest tak samo bezkompromisowa, jak wobec kiepskich wierszy, nigdy niepogodzona z myślą, że cokolwiek mogłaby oddać, stracić. Jakby nie dopuszczała myśli, że mężczyźni nie są w stanie dorównać kobietom prawdziwie wrażliwym... A może to liryczna kobiecość jest nieprzenikniona?

„(...) w tym czasie otwierasz oczy przychodzą ci do głowy najstraszniejsze słowa o nim od innych patrzysz na schody które wmurowały w twoją ścianę widzisz wszystkie sensy ściekających czerwieni i perłowych rzek od których kręci się w głowie a w twoim brzuchu wzbiera lawa kamieni włączasz telefon masz pięć nieodebranych udajesz że nic że przypadek traf głośna muzyka czy coś 'brzuch' zaczyna tu nabierać znaczenia toposu”. (fragment „Pętli 4”)

Edyta Kulczak, „ho ho”, Wydawnictwo Pożnania, Poznań 2025.



Gra w chowanego

Nierzadko zdarza się, że nawiązane w wieku szkolnym przyjaźnie, bliższe bądź dalsze znajomości, trwają całe życie. Poznane wówczas osoby są dla nieodłącznymi towarzyszami zabaw, źródłem wsparcia, a czasem nawet silniejszych doznań emocjonalnych. Koegzystencja w grupie czyni nas mocniej osadzonymi w społeczeństwie, łatwiej nawiązujemy kontakty międzyludzkie a co za tym idzie, prędzej odnajdujemy się nie tylko w towarzystwie, ale także na rynku pracy, w karierze zawodowej, czy w dowolnej innej dziedzinie. Rzecz jasna bywa i tak, że zdarzają się od tej reguły wyjątki, niedotykające większości opisywanych przypadków, ale ważnych z punktu widzenia psychologii tłumy.

W przypadku tomu opowiadań *Nikt tak nie tańczył, jak mój dziadek* autorstwa Kateryny Babkiny mamy jednak do czynienia z tą pierwszą opcją. Urodzona w 1985 roku w Iwano-Frankiwsku, ukraińska pisarka, poetka, dziennikarka, scenarzystka, laureatka Literackiej Nagrody Europy Środkowej i Wschodniej „ANGELUS” za rok 2020; przywołuje obraz paczki szkolnych przyjaciół, którzy spotykają się pierwszego września, pierwszego roku po odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości. Ten splot wydarzeń, sprawia, że losy ich i ich rodzin przecinają się w tym konkretnym punkcie historii, gdzie dawny świat runął, a nowy miał się dopiero narodzić. Symboliczne ukazanie dzieci jako nowego pokolenia Ukraińców, przejmujących od swoich przodków wiedzę i wiarę jest ze wszech miar idylliczne, a jednocześnie proste w przekazie. Babkina jako poetka potrafi z subtelnością dozować słowa tak, aby nie wyrażały wszystkiego, pozostawiały mgiełkę tajemnicy, ale robiły asumpt do dalszego zagłębiania się w jej opowiadania.

Niekiedy ironiczny, czasem figlarny, wesoły i rozkoszny ton zbioru Kateryny Babkiny wyraźnie zmienia się w trakcie jego trwania. Miejsce rezolutnych dziewczynek i nieco zagubionych chłopców zajmują dorośli; skrzywdzeni przez piekło II wojny światowej, ciężki czas radzieckiej dominacji, własne demony nierzadko wyrządzające krzywdę nie tylko im, ale także ich bliskim. Tragizm poszczególnych scen z życia rodzin małych bohaterów jest indywidualny; każdy z nich przeżywa go po swojemu, wystraszając najmroczniejsze oblicze zła. Zło kielkuje w nich powoli, acz stale, osiągając apogeum i odnajdując ujście w najmniej oczekiwanym momencie. Dawno zapomniane krzywdy i niedopowiedzenia rozlewają się czyniąc wielki pogrom i podobnie jak w przypadku wojen, konfliktów zbrojnych czy waśni, i tu nie ma szans na szczęśliwe zakończenie.

Zbiór opowiadań Babkiny mógłby przywoływać na myśli stwierdzenie, iż jest autobiograficzny, ponieważ podobnie jak jej bohaterowie także i ona urodziła się u schyłku Związku Radzieckiego i podobnie taka jak i one w pierwszym roku niepodległości rozpoczęła naukę w szkole podstawowej. Czy jest tak w rzeczywistości? Nie odnajdujemy szczegółowych nazw miejscowości, gdzie toczy się akcja opowiadań. Nie poznajemy ani nazwisk bohaterów, ani tym bardziej ich metryk (szczególnie w przypadku dorosłych). Dysponujemy jedynie imionami, krótkimi opisami charakteru i osobowości poszczególnych postaci i z rzadka, wtrąceniami

na temat powiązań rodzinnych. To tyle co nic. Ale z drugiej strony czy nie powinno to tak wyglądać? Pisarka ma przed uchylić drzwi do intymnego świata, ale nie pozwoli, aby je wyważono. Byłoby to zresztą z naszej strony niegrzeczne i nieodpowiedzialne, zważywszy na fakt istnienia nieprzekraczalnej linii, wyznaczającej początek i koniec poznania rzeczy wybitnie nieosiągalnej dla umysłu, a widzianej jedynie oczami duszy.

Szczerze można powiedzieć, że książka Kateryny Babkiny jest absolutnie niebagatelnie nieoczywista i przez to znacznie trudniejsza do zakwalifikowania do jednej z przypisanych kategorii. Gromadząc historie rodzinne autorka staje się ich częścią, opiekunką i orędowniczką, kimś kto będzie wędrował wraz z bohaterami i towarzyszył im w nieuchwytnych wędrówce po meandrach pamięci. Pamięć jest bowiem najważniejsza, a jej pielęgnowanie tylko przyczynia się do lepszego zrozumienia kim jesteśmy – istotami ludzkimi, które z jakiegoś powodu znalazły się na trzeciej planecie od gwiazdy centralnej.

Kateryna Babkina, *„Nikt tak nie tańczył, jak mój dziadek”*, tłum. Bohdan Zadura, Wydawnictwo Warsztaty Kultury w Lublinie, Lublin 2020.



Marek Szewczyk

Ewangelia wg grzesznego Marka

Tekst wygłoszony na slanie

Na początku Bóg trzymał cały świat w prawej dłoni. Mocno zaciśnięta pięść. Pełna kontrola nad sytuacją. Malutka kulka, w której mieściły się światy wszystkich światów. Dla Boga była to komfortowa sytuacja – żadnych problemów czy konfliktów, utarczek i wyjaśnień. I dnia pewnego, może przez nieuwagę, albo przez chęć zobaczenia swojej linii życia, Bóg rozwarł palce dłoni. Uczeń mówi, że na bardzo krótką chwilę. Ale to wystarczyło. Trzymane na uwięzi światy zerwały się w jednej chwili jak psy z łańcucha i rozbiegły we wszystkich kierunkach. Te bardziej spokojne szybko odnalazły swoje miejsce w przestrzeni. Te mniej nieufne i podejrzewające cały czas jakiś podstęp, nie przestają uciekać do dziś. Zapanował swego rodzaju chaos. Ale świat to zdolna bestia. Skorzystał z chwilowego zamieszania i postanowił zagospodarować na własny użytek malutki skrawek ładu. Na tym skrawku wskutek wielu zbiegów okoliczności zrodziło się życie. Bóg patrzył na to zafascynowany. Był naprawdę szczęśliwy i dumny z siebie, że kiedyś tam rozprostował palce prawej dłoni, dając początek największemu cudowi w dziejach. Nie z wszystkim, co oglądał, się zgadzał. Często był przerażony i zniesmaczony tym, co widzi, ale nie mógł ingerować. Poza tym, nawet najbardziej zawiłe sprawy, dzięki mądrości tych, których tak podziwiał, zawsze kończyły się dobrze. Pewnego dnia wpadł na szalony pomysł. Zdobył się na odwagę, by zaznać tego ziemskiego (ludzkiego) życia. Ta ziemska przygoda trwała trzydzieści trzy lata i zakończyła się tragicznie. Przez kilka tysięcy lat goił swoje rany. A tam w dole działy się rzeczy, o których nie śniło się nawet filozofom. Wiedziony własną ciekawością udał się w podróż dookoła. Intuicja podpowiadała mu, że gdzieś tam, w otchłaniach kosmosu, muszą istnieć światy równie ciekawe jak ten, z którym miał do czynienia. Wrócił po długiej podróży: zmęczony, ale podniecony. Miał tyle do przekazania i widział już jak to zrobić. W swojej zamkniętej dłoni trzymał tajemnicę nieśmiertelności. Kochał tych na dole. Uważał, że na to zasługują. Cieszył się bardzo na moment spotkania. Szybko zorientował się, że coś jest nie tak: wszędzie zielsko i pokryte rdzą budowle. Zatrute wody i powietrze. Dziwna mgła pokrywająca prawie całą powierzchnię planety. Cisza. Zero ruchu. Przecierając ze zdziwienia oczy, przez nieuwagę otworzył dłoń. Największa tajemnica tego świata za chwilę skryje się za chmurami. Nie martwił się tym. Nie było nikogo, z kim mógłby się nią podzielić.

Stanisław Szwarc

Fantazje na temat „Wariacji Geldbergowskich” Ewy Lipskiej

Geldberga bolą uszy. Poznawczy dysonans słów i czynów staje się nie do zniesienia. Z jednej strony niebiańskie pienia, które przechodzą w psie głosy pod niebiosy. Z drugiej wybuchy entuzjazmu przekształcające się w basso continuo bomb i rakiet. Odrzuca możliwość użycia stoperów. Byłoby to tchórzostwem. Ale co innego może zrobić. Dołączyć swój słaby krzyk do tego chóru z piekła rodem?

Geldberg podejrzewa, że słowa eko i echo mają coś wspólnego. Wie dobrze, że echo prze-dreżnia i zniekształca. Czyżby eko było echem słów: „Czyńcie sobie ziemię poddaną.” A z poddaną można sobie pozwolić na wiele. Prawo pierwszej orki i dziewiczej kopalni to dopiero niewinny początek. Gwałcona przez wieki w końcu stała się brzemienią zagładą. Aborcja wydaje się nieunikniona. Geldberg boi się, że brak mu kwalifikacji.

Geldberg zastanawia się nad lotem w kosmos. Może z tej odległej perspektywy uda się ogarnąć całość niezrozumiałych poczynąń w tym mrowisku zwanym Ziemią. Chociaż z drugiej strony to średnia przyjemność być dalekim, bezradnym, samotnym obserwatorem. W końcu rezygnuje. Na Ziemi będzie tylko bezradny.

Przeglądając w księgarni dziesiątki poradników na wszystkie nasze codzienne sprawy (i nocne też), Geldberg czuje się coraz bardziej zakłopotany. Ma już co prawda kłopoty z pamięcią, ale nie zapominał, że nigdy nie miał problemów z osiągnięciem orgazmu, rozmową kwalifikacyjną, rozmawianiem z dziećmi, samodoskonaleniem. Owszem, uczył się tego i właśnie ta nauka przyniosła mu wiele ważnych doświadczeń. Geldberg żałuje, że nie da się zajrzeć ludziom do wnętrza głów. Jest ciekaw, czy to prawda, że nieużywany narząd zanika.

Geldberg ma nowe hobby. Coraz bardziej interesuje go archeologia. Nie przypuszczał, że tyle zostało w przeszłości do ponownego odkrycia. Kiedyś pasjonował się futurologią. Zniechęcenie przyszło, gdy okazało się, że prognozy stają się coraz bardziej krótkoterminowe i coraz bardziej graniczą z pewnością.

Ewa Moskalik

Drzewo

Pierwsze, co zobaczyło, to były łodygi zbóż – kołysały się leciutko nad nim – wysuniętym z ziemi pędem, przesłaniały błękit nieba, ale i chroniły później przed piekącym słońcem. Potem na łodygach wyrosły kłosy, a te, ciężkie od ziarna, pochylały się nad jego pierwszymi liśćmi i chrzęściły niczym grzechotki, dopóki w piękne sierpniowe przedpołudnie nie podcięło łodyg ostrze kombajnu. Młodziutkie drzewo – samosiejka, rosnące w głębokiej bruździe, przetrwało. W następnym roku wilgotne i chłodne lato przerzedziło łany zboża. Kombajn omijał puste place na polu, na jednym z nich męźniało ono. W trzecim roku było już na tyle rosłe, że kombajn ominął je z respektem, a może z litością. I tak już zostało. Było drzewem. Dookoła niego rozpościerało się, jak okiem sięgnąć, pole. Gdzieś na horyzoncie majaczył las; szczególnie nocą słyszało jego nawoływania – tajemnicze szelesty liści, skrzypienie konarów drzew, ale zbyt odległe, by je zrozumieć i zatęsknić. Rosło więc samotnie w polu, zapuszczając swobodnie korzenie i rozpościerając wygodnie gałęzie między ziemią a niebem.

Któregoś roku jeden kraniec pola nie zastał obsiany. Czarne grudy ziemi to rozmakały na deszczu, to wysychały na słońcu i wietrze. A na polu zboże zieleniło się na potęgę. Wtedy drzewo zobaczyło ją po raz pierwszy. Zjawiała się niespodziewanie, rzuciła okiem na ugór i odwróciła się w stronę pola. Musnęła delikatnie dłonią wschodzące żyto, potem osłoniła ręką oczy przed słońcem i objęła zachwyconym spojrzeniem pole z drzewem pośrodku i odległy na horyzoncie las.

Za kilka dni na ugorze pojawiła się nitka betonowych płyt, po której zaczęły kursować duże, pękate samochody. Drzewo przyglądało się temu z ciekawością. Słuchało odgłosów betoniarki, pił, heblarek, nawoływania ludzi. Na jego oczach rósł i potęgniał dom. Wiosną w następnym roku w domu pojawili się jego mieszkańcy. Kobieta codziennie wychodziła przed próg i stała tam – zapatrzona i zasłuchana. Czasami miała ze sobą mały, prostokątny przedmiot, patrzyła przez niego na drzewo to z jednej, to z drugiej strony, nieraz podchodziła do skraju pola, pochylała się, przyklękała, znów się przesuwiała, jakby tańczyła jakiś taniec niepodobny do pługów żurawi i podniebnych akrobacji skowronków. Potem przyklękała ten przedmiot do oka, chwilę jeszcze tańczyła, po czym na sekundę nieruchomiała, a wówczas drzewo czuło, jakby skupiała się na nim uwaga całego świata.

Mijały strzelające pąkami wiosny, lata pełne soczystych, zielonych liści, złote wrześnie i szarugi listopadów, pękały obręcze mrozów, topniały śniegi ze śladami saren i zajęcy. Każdego dnia kobieta wychodziła na ścieżkę. Każdego dnia drzewo oczekiwało jej niecierpliwie. Każdego dnia patrzyli na siebie, oddzieleni szerokim pasem ziemi, nieświadomi nawzajem swoich odczuć.

Praca nad albumem nabierała tempa, wszystkie zdjęcia zostały już przeniesione na papier. Teraz należało wybrać te najlepsze ujęcia. Nie umiała wytłumaczyć dlaczego wzięła teczkę ze zdjęciami i po raz pierwszy przekraczając granicę cudzego pola, ruszyła w kierunku drzewa. Dopiero

z bliska zobaczyła jakie jest jednocześnie silne i delikatne, dzikie i piękne. Poczuli się onieśmielona i wzruszona. Przytuliła policzek do jego pnia, a potem objęła je ramionami.

Poczuło, że jej skóra jest ciepła i delikatna. Słyszało, jak krążą pod nią soki, zupełnie jak w nim. A potem usłyszało wewnątrz ptaka, który wyśpiewywał nieprzerwanie króciutką pieśń na dwa takty tak łagodnie i spokojnie, jak żaden z ptaków koncertujących w jego gałęziach.

Od dłuższego czasu kobieta oparta wygodnie o pień drzewa, nie spiesząc się, wyciągała po kolei zdjęcia z teczki. Na jedną stronę odkładała te, które muskała gałąź drzewa, na drugą – pozostałe.

Inspiracją do napisania tego tekstu była wystawa fotografii autorstwa poetki Katarzyny Mrozik - Stefańskiej, zatytułowana „52.312976”, która miała miejsce w 2022 roku w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Nowym Tomysku. Bohaterem całej sesji jest jedno drzewo uchwycone zjawiskowo w różnych odsłonach, zależnie od pory roku i aury.



Ewa Moskalik

Codziennosc

Świt
kołuje nad naszym snem
jastrzębiem
zawsządnadciąga rzeczywistość

Dzień
oślepia nas blaskiem słońca
fałszywych
zmyleni drogę znów gubimy

Noc
w gałęziach ciemności
zagwieżdżona
kolejne nieba nam przychyła

Irmina Kosmala

Pielgrzymka w głąb uniwersalności

Tomik poetycki Tadeusza Blumczyńskiego „*Tam*” to nie tylko zbiór wierszy, ale przede wszystkim filozoficzna podróż w głąb ludzkiej kondycji, która z powodzeniem unika pułapek religijnej egzaltacji i sentymentalizmu. Zamiast serwować gotowe, znane narracje biblijne, autor podejmuje się ryzyka ponownego, osobistego przeżycia miejsc i historii, nadając im zaskakujący, współczesny wymiar. To udany debiut, który wyróżnia się świeżym spojrzeniem i głębią, a jednocześnie przystępną refleksją.

Poezja: Pielgrzymka w głąb uniwersalności

Wiersze zawarte w pierwszej, poetyckiej części tomiku to esencja podróży, która jest czymś więcej niż tylko turystyczną wędrówką. Blumczyński, oprowadzając nas po Golgocie, Kanie Galilejskiej czy Ścianie Płacz, nie odtwarza scen, lecz je re-interpretuje. Stawia się w roli świadka, który szuka sensu i uniwersalnych prawd w tym, co wydawałoby się już dawno skodyfikowane. Wiersz o *Ścianie Płacz* jest tu doskonałym przykładem: w zaskakującej metaforze, gdzie prośby „zostają wrzucone do pieca”, a dym „jak z ofiary całopalnej wzbija się w górę”, autor odziera religijny rytuał z powagi, nadając mu nową, egzystencjalną symbolikę. Nie jest to już tylko ściana, do której wkłada się kartki z prośbami, ale symboliczne miejsce ludzkiej nadziei, która bywa zarazem ulotna, jak i nieśmiertelna.

Rygor pentastychu, w którym napisane są wiersze, paradoksalnie nie ogranicza, lecz skupia i wzmacnia przekaz. To dzięki tej dyscyplinie formalnej, wiersze nabierają uniwersalnego charakteru. W *Ecce homo* na przykład autor dokonuje swobodnego dekonstruktywizmu biblijnej opowieści, sprowadzając ją do jej ludzkiego, ponadczasowego wymiaru. Sponiewierany, niesprawiedliwie osądzony człowiek z utworu to już nie tylko Jezus, ale każdy z nas, ofiara ludzkiej podłości i zmienności. To przesłanie, że historie biblijne nie są relikami przeszłości, ale wciąż aktualnymi przypowieściami o ludzkim losie, jest jednym z najmocniejszych punktów tomiku:

*Niesłuszne oskarżenie, niesprawiedliwy wyrok.
Sponiewierany przez służby,
opłuty obelgami przez tych,
dla których tak niedawno byłeś bogiem.
Tak było, jest i będzie, człowieku!*

Proza: Osobisty wymiar doświadczenia

Druga część tomiku, zawierająca prozatorskie opisy autodoświadczeń, stanowi doskonałe dopełnienie poetyckiej refleksji. Przyjmując formę pamiętnikarską, autor dzieli się z nami swoimi

wrażeniami z podróży, ale czyni to w sposób, który wykracza poza zwykłe notatki. Opis *Morza Martwego* to majstersztyk, w którym autor zestawia fizyczne doświadczenie pływania w słonej wodzie z emocjonalnym przeżyciem operowym. To odważne i oryginalne porównanie, które pokazuje, jak głęboko Blumczyński potrafi przetwarzać rzeczywistość, łącząc ją z subiektywnymi, artystycznymi wrażeniami.

Dowcipna puenta, która wieńczy każdy z tych opisów, jest wisienką na torcie. Pokazuje, że nawet w obliczu wzniosłych tematów, autor zachowuje dystans i autoironię, co czyni jego pisarstwo niezwykle bliskim i szczerym.

Synergia obrazu i słowa

Inkrustowanie tekstu zdjęciami to kolejny udany zabieg, który pogłębia immersję czytelnika w świat *Tam*. Fotografie nie są tylko ilustracjami. Za sprawą sugestywnych ujęć tają się części narracji, wizualnym świadectwem osobistej podróży. Dzięki nim, czytelnik ma wrażenie, że uczestniczy w pielgrzymce wraz z autorem, co sprawia, że emocje i refleksje zyskują na autentyczności.

Tadeusz Blumczyński w swoim debiucie udowadnia, że opowieści o Ziemi Świętej wciąż mają moc inspiracji, jeśli tylko podejdziesz się do nich z otwartością, dystansem i wrażliwością filozofa. *Tam* to nie zbiór poezji religijnej, a raczej zbiór poezji o ludzkiej duchowości, poszukiwaniu sensu i odkrywaniu uniwersalnych prawd w najświętszych miejscach świata. To lektura, która skłania do refleksji, przy okazji dostarczając czytelnikowi estetycznych i intelektualnych wrażeń.

Tadeusz Blumczyński, „Tam”, Wydawnictwo FOTIS, Poznań 2025.



Świat lodowca

W świetle badań psychologicznych bezpośrednim efektem doświadczanej przez dziecko traumy związanej z sytuacjami zaniedbań emocjonalnych, odrzucenia, czy różnych form przemocy może być stan zamrożenia, odcięcia się od przeżywania własnych uczuć. W skrajnych sytuacjach trauma może stać się przyczyną zespołu stresu pourazowego, prowadzącego do depresji, zaburzeń lękowych, uzależnień. Często następstwa traumatycznych wydarzeń dotyczą także następnych pokoleń. Dowodzą tego badania nad potomkami ofiar holocaustu. Austriacki psycholog Victor Frankl – sam będący więźniem obozów koncentracyjnych – pisał o małych holocaustach dotyczących nas na co dzień.

Zwyczajna obojętność, chłód emocjonalny, raniące słowa, czy po prostu brak czasu i uważności potrafią niejednokrotnie ranić bardziej niż przemoc fizyczna.

Tematyka psychologicznych dysfunkcji, uzależnień, czy innych problemów psychicznych stała się w ostatnim czasie częstym motywem chętnie wykorzystywanym w literaturze. Zdarza się, że epatowanie dysfunkcyjnością służy zwiększeniu zainteresowania utworem, poczytności, czasem pełniąc rolę zastępną dla jego formalnej słabości, miałości treści. Z tym większą radością trzeba odnotować pojawienie się książki poetyckiej dotyczącej wspomnianych problemów, która jest zarazem pozycją dojrzałą, przemyślaną treściowo i spójną formalnie. Mowa tu o najnowszym tomiku „Lodowce”, autorstwa Ewy Wyrembskiej, nagrodzonym w II Ogólnopolskim Konkursie na Książkę Poetycką.

Autorka zbioru poprzez metaforyczny świat lodowca- symbolizującego mechanizmy świata, który osacza, wyklucza i niszczy, posługując się swoistą „glacjologiczną analogią” przy pomocy poetyckich porównań i obrazów wnikliwie przedstawia ruchy tektoniczne dysfunkcyjnych rodzinnych relacji z wrażliwością, a zarazem precyzją badacza analizując konsekwencje emocjonalnych następstw spekań i transgresji („transgresja”, „narodziny”, „rozmnażanie”).

Zbiór wierszy Wyrembskiej to paraboliczny przekaz skupiający się na jednym motywie. Autorka nie wpada jednak w banalność i monotonię. W sposób twórczy i pomysłowy, przyjmując za punkt wyjścia związaną z lodowcami terminologię, ożywia i metaforyzuje przestrzeń „tarasów kemo-wych”, „transgresji” i „mutonów”. Kreując oryginalne, nieoczywiste poetyckie obrazy, wydobywa z lapidarnych, ascetycznych tekstów – spełniających w doskonałym stopniu zasadę „minimum słów, maksimum treści” – różnorodność nowych znaczeń.

Podmiot liryczny – kobieta, matka, żona egzystująca w świecie „wiecznej zmarzliny” – dziedziczonej traumy spowodowanej obojętnością, przemocą i zaniedbaniami usiłuje uchronić swoich bliskich od jej wszechobecnych następstw przejawiających się w toksycznych zafałszowanych relacjach, przemocowych, pozbawionych czułości wzorcach wychowania („mówią”), sprzecznej z sercem materialistycznej zuniformizowanej logice bezwolnych lalek „manekinów, nieudolnie udających czo-

wieka” („transgresja”, „dorosłe lodowce”). Demaskując eks-

pandujący świat „lądolodu i lodowca” podmiot liryczny próbuje odnaleźć swoją życiową niszę, ziemię obiecaną. Chce ocalić od zamrożenia małe okrucieństwa i ciepła w codzienności: „niech się ogrzeją / stopniowo / lizaki lody cukierki lodowe”(„na wolności”). Czasem wydaje się jednak tracić nadzieję, gdy okazuje się, że „nie ma granicy wiecznego śniegu”, jakby „lodowy pak” stawał się lodowym paktem z prawami genetyki.

Autorka „Lodowców” nie obawia się stawiać trudnych pytań o granice wolności, autonomię, zależność od uwarunkowań („narodziny”, „kemi”, „skutki zimnego wychowu”).

Ta „glacjologiczna eksploracja”, odbywa się w języku. Uwidacznia się przy tym ambiwalentny stosunek poetki do języka. Bywa on narzędziem zawłaszczania i przemocy – zawierają się w nim toksyczne międzypokoleniowe przekazy niszczące poczucie godności, odzierające z pozytywnych uczuć i dewaluujące wartość człowieka. Z drugiej strony to właśnie w języku dokonuje się swoiste katharsis. Jest on podstawowym narzędziem psychoterapii, która zaczyna się od wyrażania przeżyć, podzielenia się bolesnymi doświadczeniami. Słowo – logos ma moc rozwiązywania toksycznych węzłów, pozwala na uświadomienie sobie destrukcyjnych schematów, wyzwala zamrożone i stłumione uczucia. Rozmowa przywraca relację, bo gdy pozostajemy „skłócenii / milczący / wreszcie nie ma relacji jest tylko on / lity („transgresja”), jak lód, czy skała: „skute mrozem / jak ryby i dzieci głosu nie mają / czasem płyną”(„dobre lodowce to martwe lodowce”).

Swoistym (pierwotnym) językiem jest także mowa ciała. Często pojawia się w tomie tęsknota podmiotu za bliskością, miłością wyrażającą się w dotyku, przytuleniu („niech mnie ktoś roztopi / może gdyby długo trzymał mnie w ramionach / skruszyłby rozdrobnił / może naprawiłby rynny odprowadzające / lodowcową wodę. Daje się tu dostrzec intuicyjne przeczucie uzdrawiającego oddziaływania kojącej cielesnej intymności: „zatapiasz się we mnie jak bursztyn / jak długo dasz radę” („katastrofa klimatyczna”), która według wybitnego psychoterapeuty Alexandra Lowena, ma moc uzdrawiania zimnego, zamkniętego serca.

Człowiek, dotknięty „lodowym językiem” odrzucenia i braku czułości często jednak nie potrafi zdobyć się na zaufanie i w rezultacie mniej, lub bardziej świadomie, odrzuca możliwości uleczenia, zmiany. Zamyka się na różnorodne formy terapii, stając się w ten sposób niejako „ofiara z wyboru” („na kozetce”). Przed zafiksowaniem się na takiej postawie zdaje się przestrzegać, nie oceniając, daleka od moralizowania autorka „Lodowców”.

Najnowszy tom Ewy Wyrembskiej po raz kolejny udowadnia nieobojętność autorki na to, co najważniejsze i co w jakimś stopniu dotyczy osobie każdego. Porusza wyobraźnię i – co istotne – w sposób wrażliwy i pełen współczucia dotyka serca czytelnika, pozwalając mu skonfrontować się z odrzuconym, zagubionym dzieckiem, które żyje w każdym z nas.

Ewa Wyrembska, „Lodowce”, FONT, Poznań 2025.

Danuta Ewa Dachtera

Odejścia

Niektórych pamiętamy
Pamiętają ich białe kartki
Pamięta cisza
- *telefon odbiera najczęściej mama*

Ktoś inny odchodzi także niezauważenie
dla szerokiej publiczności
- w swej publicznej niszy żegnany
z hukiem
Stworzył osobistą narrację egzystencji
- *savoir-vivre*

Potem myślisz także
czy ona jeszcze żyje
czy pozostaje w *półgłosie*
dojmująco autentycznym

Krystyna Drewnicka

Duch

pewnego dnia upadła na duchu
a duch zdziwił się
– przecież dotąd był silny wierny
i czuły jak matka

teraz poczuł się niedoceniony
źle potraktowany
pokrzywdzony
poturbowany
zdradzony
posmutniał zmałał
i nie miał siły żyć dalej
ale w końcu kulejąc
doszedł do siebie
a potem zbliżył się do niej
więc wzięła go w ramiona
i mocno przytuliła

Ewa Szafranek

odwracam głowę
spoglądam daleko w przeszłość
gdy światło ognia było moją bronią

zagłębam się w siebie
szukam światła życia
bez niego nie oddycham
oczy szeroko otwieram
miasto mruga do mnie

Zuzanna Cholewa

debiut

Purpura

Purpurowa granica wszechświata
Purpura rozgraniczająca światy moje i twoje
Purpura to siła nadprzyrodzona
Nad Purpurą nie można panować
Purpury nie da się zmniejszyć
Purpura może zrobić to sama
Lecz Purpura nie musi

Nikt Purpury nie zmusi
By Purpura zmieniła swój kształt
konsystencję lub położenie
Purpura panuje nad sobą sama
Purpura nie potrzebuje twojego wsparcia

Purpurą można wzgardzić
Lecz Purpura zawsze odeprze atak
Z Purpury się nie uwolnisz
Nie
Uwolnisz się
Z Purpury
Ty się z Purpury nie uwolnisz



Aleksandra Pawlisz-Jabłońska

Erotyk

Słowa zamarzyły na ustach
w oczach ciepłe iskiereki
zdradziecko pokazują
ukryte myśli

Nadzieja że serce
pełna gorącej krwi
rozgrzeje
zastygłe ciało

Może znowu dłonie
wprawione zmysłami w ruch
zaczną tańczyć
na moim ciele

Zygmunt Dekiert

Haiku jesienią malowane

Jesienna słota
Do lata tak daleko
Ogień w kominku

Opadły liście
Strugi deszczu po szybach
Zasłona smutku

Dywany liści
Dzień zatonął w jesieni
Noc płynie chłodem

Małgorzata Łyssowska-Szczęsna

Gerda

Czołgam się idę biegnę do Ciebie
po śniegu lodzie wypaprana błockiem
Przeciskam się między szyderczymi soplami
Gwiazdkami krwistej szreni znaczę...
Zamarzam
Odtajam gorączką resztek wspomnień

Czołgam się idę biegnę w mgłach przez burze
śnieżne
pokonuję góry lodowców szczyty
Czekaj
Królu Kryształowy
Jestem...

Maria Dolata

wyostrzony ołówek
sunie po papierze bez maniery
łączy litery
przycina zamaszyste słowa
bez patosu
myśli kielkują w głowie

Andrzejowi Sikorskiemu

chcemy być jak gęsi
w kluczu
przy dobrym gąsiorze

nawołuje stado
wiatrem niesione
w dobrą stronę



Krystyna Drewnicka

Klucz do innego świata

Barbara Stawicka-Pirecka urodziła się w Polsce. Studiowała romanistykę na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Później związała się na dobre z Meksykiem: myślała i pisała po hiszpańsku. Po roku pobytu w Meksyku opanowała język hiszpański do tego stopnia, że mogła prowadzić w nim zajęcia ze studentami na Uniwersytecie Veracruzanskim. Z ówczesnym mężem – znanym krytykiem meksykańskim, wykładowcą, redaktorem naczelnym cenionego kwartalnika literackiego „La Palabra y el Hombre” – tłumaczyła na hiszpański m. in. poezję Czesława Miłosza – zawarła umowę na tę pracę ze znanym wydawnictwem Tusquets Editores w Barcelonie. Zrobiła karierę naukową na poznańskiej iberystyce i pod swoimi skrzydłami wypromowała wiele prac magisterskich i doktoratów. Była kierowniczką Katedry Hispanistyki na UAM. W roku 2023. wydała tom poezji „I blask i szept” zawierający 45 wierszy. Na okładce książki widzimy sylwetkę drzewa z jaszczurkami, autorstwa Wiliama Markiewicza; rysunki tego artysty przewijają się przez cały zbiór. Jako motto swych utworów autorka wybrała słowa, które mogą ułatwić życie każdemu człowiekowi: Gdy masz klucz, ściana staje się wrotami.

Otwieramy książkę i pierwszą rzeczą rzucającą się w oczy jest brak tytułów utworów. W tym momencie już wiemy, że poetka nie naprowadzi nas na określoną treść, nie wytłumaczy, nie zasugeruje, w którą stronę mamy pójść. Tylko jeden tytuł – tytuł całego tomu – „I blask i szept” może objaśnić nam, co dzięki autorce zobaczymy i usłyszymy. Drogowskazami dla czytelnika mogą być zatem pierwsze wersy wierszy. A skąd te blaski i szepty? To przede wszystkim przywołanie doznań i wspomnień z przeszłości poszczególnych podmiotów lirycznych, a może także poetki osobiste – na przykład w wierszu przywołującym sen o ojcu: *Kiedy zdzierano ze mnie szatę królowej...* lub tego z dedykacją mamie: */ Moja drewniana laleczko / z pomyloną kropką na piersi...* A może to tylko nawiązanie do meksykańskich obrzędów? Mamy także wspomnienie o innych ludziach: *ludzie / których kiedyś znałam / osypali się ze mnie / jak płatki kwitnącego krzewu...* lub: *Pani Consuelo / siwe włosy...* I wstrząsające słowa Michała skierowane do Basi: *Umierać będę jesienią / pod koniec października...*, ale również jakaś nadzieja na przyszłość: *Wiara, że nie zamknięte / zostaną drzwi domów do których chcemy wejść.* Nie wiemy, czy to są własne przeżycia autorki... Na pewno na swojej drodze życiowej doświadczała kulturowego rozdwojenia, funkcjonowała w bardzo różnych światach, bardzo różniących się od naszego. Teraz, poprzez swoją poezję, staje się przewodniczką po nich. I co widzimy? *Tam – szczyt wulkanu / w śniegu niebieskim i czystym / Tu - krzywa sosna / dla mnie – wychylonej / przez okno pędzącego dzieciństwa // I tak już będzie.*

Zjawisko dwoistości obserwujemy w całym zbiorze, staramy się po kolei rozwiązać zagadki, a poetka pomaga nam wejść w ten niejednoznaczny, tajemniczy świat. Słowa mają być kluczem,

dzięki któremu ta ściana może stać się dla nas wrotami. Wiemy, że Meksyk to kraj w większości rzymskokatolicki, a obrzędy pogańskie tworzą tam wielką różnorodną całość. Widzimy na przykład następujący obrazek nawiązujący do zwyczaju przyprowadzania do kościoła zwierząt, aby je „poświęcić”: *Meksyk – niedzielna katedra...* oraz inne zjawiska, które dane było poetce zgłębić: *Dar rzeźby ujrzanych...*, w tym objawienia artystyczne – obraz filmowy Takeshi Kitano „Lalki”, czy słowa wiersza anonimowego poety azteckiego... Widzimy też wspaniałą naturę: *Bielmo na oku słońca... // obłok za obłokiem // taniec ptaka na pustej ścieżce // w nocy ptaki zakrzywały morze.* Czytamy: *Wieczorem liście grabiliśmy w ogrodzie / Księżyc wspinał się wysoko / pachniał ziemią,* albo przejmujące: *chore zwierzę...* A zagadkowa „Kobieta drzewa”? Kobieta jako nierozdzielna część drzewa? Czy to tylko metafora? A może to nie związek kobiety z drzewem, a z mężczyzną? A może to wiersz o kobiecie, która jest nie do zdobycia?: *Nie pojmiesz mojego ciała / Złożona jestem z liści / O bardzo czułych nerwach...* Ogromne wrażenie robi utwór o warzeniu zupy z dedykacją dla Oleha Polyakova: *Warzenie zupy to czynność / jaka cię może ocalić / przed twoim własnym szaleństwem / Zwłaszcza wtedy, gdy śmierć chodzi po domu / i przegląda się w lustrach...* To wiersz z ogromną głębią psychologiczną. Pełne zrozumienie dla człowieka dotkniętego tragedią wojny. Opis podejmowania próby psychicznej ucieczki przed nią poprzez podejmowanie czynności związanych ze zwyczajnym, codziennym życiem. I na koniec zupełnie inny, zaskakujący klimat poetyckiej narracji, nagły przeskok – nawiązanie do ludowości: *Biegał idiota po wsi...*

Utwory Barbary Stawickiej-Pireckiej wymagają głębokiego skupienia. Na początku wydaje się, że śnimy głęboki sen. Aby było nam łatwiej wejść w nieznane obszary, otrzymaliśmy od poetki klucz – słowa, które otwierają wrota. Dzięki nim ten obcy świat staje się stopniowo coraz bardziej zrozumiały i w swojej inności pociągający...

Barbara Stawicka-Pirecka, „I blask i szept”,
Wydawnictwo ASPEKTSPRESS, Inowrocław 2023.

Krystyna Drewnicka

Za poetą schodami do nieba...

Omawianie tomu poezji Sergiusza Adama Myszograja „Zastrachanie” należy zacząć od niebanalnego tytułu. Strachać się, czyli bać się – słowo staroświeckie, potoczne. Umieszczone na okładce ukazującej nagiego człowieka, a konkretnie mężczyznę, już na wstępie sugeruje, że rzecz będzie o kondycji człowieka w świecie...

Tytuły rozdziałów dzielą ten tom poezji na trzy części – „Początek”, „Zastrachanie” i „Koniec”. Czego zatem czytelnik może się spodziewać? Po prostu poetyckiej opowieści składającej się ze wstępu, rozwinięcia i zakończenia, według tradycyjnej konwencji literackiej, czy wręcz przeciwnie – takiej, która swoją oryginalną formą i treścią od początku do końca poprowadzi go tajemniczą drogą w atmosferze zastrachania?

Już od początku należy zwrócić uwagę na zróżnicowany język, jakim Sergiusz Myszograj opisuje świat i swoje odczucia – chwilami baśniowy, głęboko romantyczny (lecz bez sentymentalizmów), a czasem ostry i prowokacyjny, przechodzący w prosty, niewyszukany konkret bliski każdemu z nas.

W pierwszym utworze zatytułowanym „Zastrachanie” poeta ustosunkowuje się do zjawiska poezji i zdecydowanie odbiera jej ewentualną sielankowość i przesłodzenie; tłumaczy, że po dobrej poezji nie należy oczekiwać treści przysypanych pudrem. Uważa, że: w *dobrym wierszu muszą być ofiary*. W wierszu „Lekki traktat o stworzeniu świata” znajdujemy poetyckie wyjaśnienie, jak powstał świat, a sposób i pewność, z jaką autor to opisuje, sprawia że wierzymy każdemu jego słowu. Otacza nas taka, a nie inna rzeczywistość i w dodatku wiemy, skąd się ona wzięła. Teraz żyjemy w niej my, później potomkowie, a ona oczywiście nadal będzie się zmieniała. Niestety, na gorsze.

Autor rozlicza Boga z nieudanych pomysłów i ich realizacji. Większość poetów, w odpowiedzi na zastaną rzeczywistość, w zderzeniu z nią, po prostu opisuje swoje refleksje, emocje i wzruszenia. Ale może on, Sergiusz Myszograj, nie musi w konwencjonalny sposób przyjmować zastanego świata? Może uda się świat odrzucić i zaistnieć w innych realiach? Może zdarzy się tak, że Bóg (tak jak w „Inwersji”) przeniesie autora na inną planetę i on będzie mógł zacząć wszystko od początku, od innego początku? Jak wtedy zareaguje? *Ja sobie poradzę / Ja sobie nowe sztuczce i talerze gdzie kupię.*

A może sam po prostu wejdzie w rolę Boga i wykreuje dla wszystkich ludzi (i dla siebie) nowy, lepszy świat? A może tylko napisze następną baśń dla dorosłych, a my po prostu znowu bardzo będziemy chcieli mu zaufać?

We wszystkich utworach, bez względu na treść, podmiotem lirycznym jest mężczyzna. Na przykład w „Górach lodowych”, tak pisze o kontaktach z kobietami: *na długość rzęs – bliskość, / znajomość – na długość papierosa*, a w „Niewywołanych”: *pieśń rozkoszy / zmienia się w biel poranka, / który rozgrzesza*. Jednocześnie mówi o strachu, którego doświadcza, np. w wierszu bez tytułu jest sformułowanie: *kiedy szedłem do ciebie na spotkanie, / zawsze chowałem serce po mojej prawej stronie*, a także o śmierci i samotności: *Samotność – ten pewien rodzaj ubóstwa*. i przywarach ludzkich: *Przez pierwsze trzy godziny słuchałem / o chorobach, tabletkach i załamaniach*.

Ale przede wszystkim Sergiusz Myszograj wprowadza nas w bardzo odległe rejony świata – egzotyczne, tajemnicze i pociągające; jest przewodnikiem po nieznanym nam obszarach: *Piąta rano w chińskiej dzielnicy, / Pan Liou mija mnie na ulicy lub: Stoję na czerwonym moście. / Martwa rzeka płynie pod prąd, czy: wyrzuciło mnie za horyzont / – zmarłem trochę nad oceanem*.

W wierszu „Recuerdo” nadzieja: *Zuchwale rozrzucam się jak kamienie na plaży / może kiedyś, ktoś pozbiera mnie na pamiątkę*, a w innym wręcz przeciwnie – rezygnacja: *Nie rzucam monet do fontanny, / ja już tu nigdy nie wrócę*.

A w czym po całym życiu pełnym zastrachania przejawia się koniec? Czy tak jak we „Flamenco i czarne buty”: *Jak cudownie, jak dobrze. / Od milionera do pucybuta? Czy w byciu*

tylko na niby i ciągłym schodzeniu: Czasem kapelusz, to najlepsza część mnie.

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 94/2025/26

A może jednak nie tylko bylejakość? Jak pisze w oryginalnym, robiącym ogromne wrażenie utworze „Tak, a nie inaczej”, tylko poeci, jako jedyńi, mają możliwość wchodzenia po schodach...: „47, 46, 45, 48...” i tylko oni są w stanie stworzyć lepszy świat... A my, czytelnicy, idziemy po tych schodach za słowami Sergiusza Adama Myszoграja, gdyż znowu bardzo pragniemy poecie uwierzyć...

Sergiusz Adam Myszograj, „Zastrachanie”,
Wydawnictwo FONT, Poznań 2024.

Kazimierz Grochmalwski

szstorm

szstorm który podważa sens
wszelkiego istnienia
błyskawice rozrywające przestrzeń
piorun co wciska cię
do przedsionka matczynego łóżyska
i na szczęście deszcz
jego wielkie ciepłe krople
odradzają nadzieję że świat
powróci do równowagi
a my taplamy się w błocie
szczęśliwi że jest
i nie pozwala
oderwać się od ziemi

na końcu świata

na końcu świata jest przesmyk ciernisty
woda przelewa się tam z impetem urwanej
skały
kłębi i pieni kamienie podrzucą
orientację gubi żeglarza co zbłądził
i już nie powróci

na końcu świata siły się mierzą
same ze sobą i wobec siebie
na końcu świata rozum powraca
gołębie jak zwykle nieodstępne
świat oswajają próbując lotu
bez nich świat byłby bez powrotu

na twarzy uśmiech wyzwolony
wszystko jeszcze może się zdarzyć
na końcu świata zacznij raz jeszcze
o szczęściu marzyć

Krzysztof Gołębiowski

Poezja mimo wszystko

Nie pojawia się w Polsce na jedno stulecie już tylko paru wieszczów. W XXI wieku Mickiewiczów, Słowackich, Norwidów „ci u nas dostatek”. Zwiększyły się możliwości uprawiania poezji nie tylko przez bożych wybrańców; rozwój wszelkiej maści mediów, edytory tekstów, sieć Internet wszystko to sprawia, że – parafrazując słowa słynnej już piosenki – pisać „każdy może, trochę lepiej lub trochę gorzej”. Niestety zajęcie to pieniędzy wielkich nie przynosi. Zdarzają się przypadki, że nawet nagrodę Nobla za twórczość poetycką odbierze czasem jakiś Polak czy Polka, ale to rzeczywistość są przypadki. Skoro więc na poezji nie da się zarobić, dlaczego wciąż tylu ludzi pisze wiersze? Z pewnością nie dla pieniędzy – poezja nigdy nie była intratnym zawodem. To raczej sposób na poradzenie sobie z emocjami, próbę nazwania tego, czego nie da się wyrazić prozą. Dla jednych jest formą terapii, dla innych pasją wyniesioną z lektur szkolnych albo zaszczepioną przez mistrza, który kiedyś uwierzył w ich talent. Jeszcze inni traktują wiersze jak listy wrzucone do butelki – wysłane w nieznane, z nadzieją, że ktoś kiedyś je otworzy i zrozumie. Poezja bywa zapisem chwili, próbą ocalenia pamięci o bliskich, miejscach i doświadczeniach. Bywa też grą z językiem, eksperymentem estetycznym, sztuką dla sztuki. Można więc powiedzieć, że motywacje są różne, ale wszystkie mają wspólny mianownik: poeta pisze dlatego, że inaczej nie potrafi żyć.

Kto dziś chciałby zostać poetą – skoro na wierszach nie da się zarobić? Być autorem w Polsce to zajęcie wymagające nie tylko talentu, ale i odporności psychicznej, organizacyjnej zręczności oraz... własnych pieniędzy. Zamiast literackiego splendoru przychodzi zderzenie z rynkiem, na którym poezja stała się kategorią niemal wymarłą.

Coraz mniej osób sięga po tomiki. Winny jest spadek czytelnictwa w ogóle, ale i fakt, że poezja wymaga od odbiorcy czegoś, czego w codziennym zgiełku brakuje – skupienia, ciszy, chwili refleksji. Księgarnie tymczasem toną w kryminałach, biografiiach i poradnikach o „szybkim sukcesie”. Poezja, jeśli w ogóle się pojawia, zostaje wepchnięta w najciemniejszy kąt, jakby sama wstydiła się własnego istnienia.

Wydawnictwa, nawet te z tradycją, stawiają na to, co się sprzedaje. Tomik poetycki to niemal pewna strata: koszty druku i promocji rzadko się zwracają. Nic dziwnego, że poeci coraz częściej publikują na własny koszt. Selfpublishing – czy to całkowicie samodzielny, czy z pomocą wyspecjalizowanych firm – stał się normą. Czasem pomaga fundacja czy biblioteka, dorzucając kilka tysięcy złotych, jakby chodziło o program ochrony ginącego gatunku.

Tu zaczyna się ciekawa konkurencja. W Polsce krąży opinia, że wydanie tomiku przez Ridero czy podobne portale „selfpublishingowe” to wstyd, żenada, wręcz kompromitacja. Tyle że najczęściej mówią tak... same firmy wydawnicze, które żyją z autorów, nie z czytelników. W praktyce także każą płacić sobie niemałe sumy – nierzadko kilka

czy kilkanaście tysięcy złotych – za druk dwustu czy trzystu egzemplarzy tomiku z wierszami. W zamian poeta dostaje okładkę z szablonu, parę słów w katalogu i złudzenie, że jego książkę „wydało wydawnictwo”. O promocji i dystrybucji lepiej nie wspominać, bo najczęściej kończy się na stronie internetowej i jednej paczce książek pod pachą.

Ridero czy inne platformy przynajmniej nie udają niczego. Dają plik PDF, wersję elektroniczną, druk na żądanie i opcję natychmiastowego umieszczenia e-booka w wielu sieciach sprzedaży. To uczciwy układ: zero obietnic, zero złudzeń. Krytycy mówią: „ale przecież oni nie sprawdzają jakości”. Tylko że wiele oficyn też tego nie robi. Wydrukują wszystko, byle autor zapłacił, a potem zostawiają go z niesprzedanym nakładem. Różnica jest taka, że w Ridero przynajmniej nie sprzedaje się tej fikcji jako „wejścia do literackiego obiegu”.

A gdy książka już istnieje? Szansa na rzetelną recenzję jest minimalna. Krytyka poetycka praktycznie zniknęła z mediów ogólnopolskich. Jeśli pojawia się, to w formie krótkiej notki. Reszta to niszowe pisma literackie i portale prowadzone społecznie przez pasjonatów. Ich praca jest bezcenna, ale nie zastąpi szerokiego obiegu, w którym poeta mógłby rzeczywiście zaistnieć. Często zdarza się, że poeci piszą recenzje sobie nawzajem, czasem płacąc „po cichu” za krótki tekst, zamówiony u redaktora w „nieco bardziej” poczytnym piśmie literackim.

Paradoks polega na tym, że mimo tych wszystkich barier poezja wciąż powstaje. W kawiarniach i księgarniach, w małych miastach i internetowych grupach. Na festiwalach nadal zbierają się ludzie, którzy wierzą, że warto posłuchać wierszy czytanych na głos. Biblioteki organizują spotkania, na które przychodzi kilkanaście osób – i dla autora każda z nich jest ważna. Wiersze nadal krążą też w sieci: na blogach, w mediach społecznościowych, w newsletterach i cyfrowych antologiach. Czasem mają zaledwie kilku czytelników, ale ci nieliczni wciąż tworzą prawdziwą wspólnotę. Jednak być poetą w Polsce to jak uprawiać ogród na betonowym placu: wiesz, że plony będą skromne, ale i tak siejesz. Bo nie chodzi o ilość, lecz o te pojedyncze chwile, kiedy ktoś przeczyta Twój wiersz i poczuje, że ktoś inny myśli i czuje podobnie.

Może więc poezja wcale nie umiera? Może tylko zmienia adres – z salonów i księgarni przenosi się tam, gdzie najmniej się jej spodziewamy. I tam, w cieniu, wciąż dowodzi, że słowo ma moc. Nie daje sławy ani pieniędzy, ale daje coś innego: wspólnotę przeżyć, możliwość rozmowy ponad czasem i przestrzenią. Poezja nie konkuruje z serialem ani z TikTokiem – ma inną funkcję. Staje się formą pamięci, zapisem chwil, próbą ocalenia doświadczeń, które łatwo uleciałyby w codziennym zgiełku. Dla jednych to wciąż element życia literackiego – festiwal, spotkań autorskich, publikacji w pismach. Dla innych – bardziej intymny rytuał: kilka wersów zapisanych w notesie, czytanych po cichu przy kawie albo wysyłanych w wiadomości do bliskiej osoby.

I może właśnie w tym tkwi tajemnica jej trwania: poezja jest zbyt osobista, by mogła naprawdę zniknąć, a nawet jeśli nie utrzymuje poetów przy życiu finansowo, to często ratuje ich wewnętrznie – i dzięki temu ratuje też kawałek naszego wspólnego świata.

Szorstkowość do końca

W 2022 roku ukazał się tomik poetycki Krzysztofa Grzechowiaka pt. „Zaległe terminy”, który był dopiero drugim w jego dorobku, ale poeta miał na koncie także arkusze literackie, a debiutował w 1980 roku na łamach „Radaru”. Z posłowie Krzysztofa Szymoniaka można jednak wywnioskować, że mimo takich sporadycznych publikacji, Grzechowiak już na przełomie lat 70-tych i 80-tych, kiedy pojawiał się na spotkaniach grupy poetyckiej „Drzewo” był twórcą ukształtowanym i świadomym swoich poszukiwań. Można zauważyć, że swoją poezją pisaną dzisiaj Grzechowiak nie chciał nikomu zaimponować, nie pisał by zabłyszczyć i olśnić, nie pisał by odkryć nowe poetyckie światy, ale zdawał relację z własnej egzystencji i własnych niepokojów, rozmyślań, obserwacji i wspomnień. Jego wiersze często charakteryzował dziennikowy zapis, co nieco przypominało zabiegi poetyckie niektórych poetów „Brulionu”, którzy debiutowali nieco później niż Grzechowiak, bo w latach 80-tych i na początku lat 90-tych.

W „Zaległych terminach” Grzechowiak pisał o obserwowanym mieście zapewne z jakiegoś wysokiego piętra, na którym mieszkał, wspominał śmierć matki, uwieczniał zimowe pejzaże, zastanawiała go istota aniołów, nie unikał wspomnień z wędrówek i wyjazdów, ale także opisywania codziennych czynności, współczuł biednym i bezdomnym, medytował nad istotą śmierci ludzi i zwierząt, zastanawiało go samo pisanie, nie obce mu były obserwacje przyrodnicze, wspominał Tadeusza Różewicza i innych zmarłych twórców, ale także podejmował różewiczowski wątek – pisanie poezji w czasie marnym.

Do najciekawszych w „Zaległych terminach” należały takie wiersze jak „Umarł poeta” dedykowany znajomemu poecie Andrzejowi Ogrodzickowskiemu, „Czym się zajmuję obecnie? (list)”, czy „Jelonek”. Grzechowiak w „Umarłym poecie” jak w wielu swoich wierszach nie ograniczał się do jednego tematu i zarówno wspominał wspólne odwiedzenie ze zmarłym księgarni „Kapitałka” i kupowanie przez niego tomu wierszy Adama Zagajewskiego pt. „W cudzym pięknie”, ale także pisał w nim o swoich spotkaniach i rozmowach z Tadeuszem Różewiczem, któremu wysłał swój arkusz poetycki. Wiersz kończył się żarliwą polemiką – choć na pewno nieco ironiczną – z Bogiem związaną z sensem uśmiercenia tak wybitnego poety jak Różewicz. W drugim z wymienionych wierszy, poeta wspominał przewrotnie nieco swoją młodość literacką, kiedy zapowiadał się „jako buntownik poeta przeklęty”, co zestawiał z aktualnym moczeniem nóg w misce z „wodą i solą”. Pisał o swojej niechęci do eleganckiego ubierania się i służby wojskowej.

Na pewno w „Zaległych terminach” zauważalna była niechęć do przesady w tematach, niechęć do eksperymentowania, czy poetyki zadziwienia czytelnika na siłę. Klimat wierszy Grzechowiaka wydawał się mroczny i jedyne czego brakowało mi czasem podczas lektury jego wierszy to krztyny humoru i nieco czasem przeszkadzał patos, kiedy nie pasował do wiersza. Ale lektura książki uświadamiała, że istnieli jeszcze poeci, dla których uważne pisanie wierszy było czymś ważnym, nie

dlatego, że pojawiały się w nich nowe, niespotykane metafory i metonimie, ale przez to, że zapisywano w nich ludzkie doświadczenie. Także uzmysławiał Grzechowiak, że odejście Różewicza, ale na pewno nie tylko jego, to wielka strata dla polskiej poezji. Niestety, tak skonstruowano w latach 90-tych świat literacki, że po największych pozostały tylko książki, które pisali często wtedy już na potrzeby rynku, a do młodych przemawiali z ekranu telewizora, czy z podestu na targach książki.

Krzysztof Grzechowiak, „Zaległe terminy”,
Bydgoszcz 2022.

Krzysztof Grzechowiak

Ręka w pętach

ludzie...
pochyla się nad głodnym kotkiem
lecz torturowany kapłan nie robi na nich
wrażenia

bezpiecznie jest żałować kotka

gdy już polubisz wiadomość
możesz sobie zrobić drinka
pozostajesz w strefie komfortu

zamordowany kapłan
jest tak samo groźny jak żywy
interakcja pozostawia ślad cyfrowy
od którego może rozboleć głowa

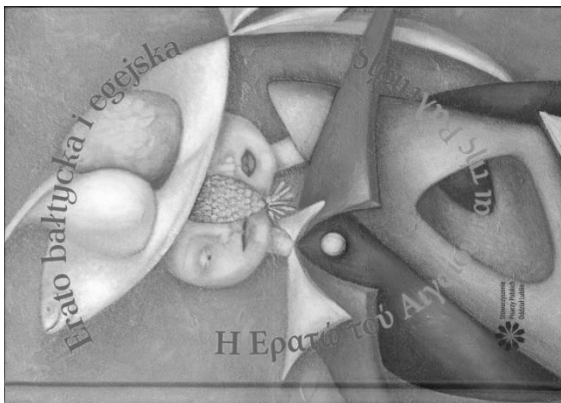
albo i reszta życia

bo przecież mówili „nie lękajcie się”
a i tak Go ukrzyżowano

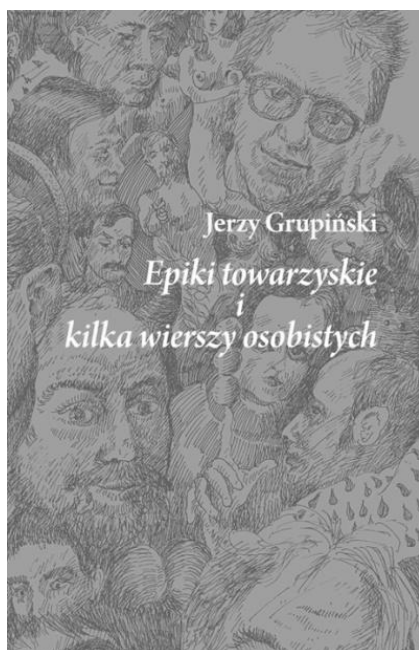
lękamy się Zła
idąc Ciemną Doliną...

* * *

Rzeźbiony lew w hebanie.
Pałac stał na wodzie jak liść nenufaru albo wyspa
Kwiaty rozchylały swoje pyszczki stojąc w ikebanie.
Na jednej nodze bocian tak tkwi. Powietrza kryształ
Fosforyzuje i zbiera światła miód kartka
w zeszytach
Niech wolno gra muzyka obracana na ciemnych płytach.



SPP oddział w Lublinie wydało piękną, obszerną antologię (364 str.) "Erato bałtycka i egejska". Książka zawiera dwujęzyczne teksty poetów polskich i greckich, w przekładzie i opracowaniu pisarza i dyplomaty Pawła Krupki (inicjatora, edytora antologii) i Dimitrisa Pistikosa. W antologii znalazły się m. in. wiersze Jerzego Grupińskiego, Małgorzaty Łysowskiej - Szczęsnej i Sławomiry Sobkowskiej - Marczyńskiej.



Nowa książka Jerzego Grupińskiego „Epiki towarzyskie i kilka wierszy osobistych”. Na okładce oraz w aneksie afisz Tadeusza Wyrwy-Krzyżańskiego przygotowany na II Ogólnopolski Mityng Poetów i Krytyków (Poznań 1997) Wykorzystano ekslibrisy Jerzego Grupińskiego autorstwa Jerzego Piotrowicza, Zbigniewa „Ikony” Kresowatego, Tadeusza Wyrwy-Krzyżańskiego, Jana W. Malika. Bogucki Wydawnictwo Naukowe. Poznań 2015.

Gratulujemy prof. Lechowi W. Szajdakowi

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznał nagrodę za osiągnięcia twórcze profesorowi Lechowi Wojciechowi Szajdakowi. Profesor Lech Wojciech Szajdak jest synem Stefana Szajdaka poety autentysty i współzałożyciela Grupy Poetyckiej „Wołyń”. Doktor farmacji, prof. zwyczajny agronomii. Specjalista z zakresu chemii i biochemii gleb. Wcześniej wyróżniony za działalność w sferze Kultury i Dziedzictwa Narodowego Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis, Międzynarodową Nagrodą Literacką im. Józefa Łobodowskiego, tytułem Lidera Pracy Organicznej oraz nagrodą Marszałka Województwa Wielkopolskiego za całokształt dorobku kulturalnego.

W numerze wykorzystano grafiki Witolda Zakrzewskiego z książki poetyckiej Edyty Kulczak „ho ho”.

- s. 4 Miasto
- s. 7 Marionetta
- s. 13 Karuzela
- s. 16 Ot-Kot
- s. 18 Szczudła
- s. 19 Balony chmury

Witold Zakrzewski (ur. 1962 r. w Rzeszowie), artysta malarz, grafik, wykładowca, instruktor warsztatów malarskich, organizator wystaw, działacz społeczny w dziedzinie kultury. Dyplom uzyskał w PWSSP w Poznaniu. Uprawia malarstwo sztalugowe i monumentalne oraz grafikę projektową. Kurator, członek jury oraz uczestnik wielu wystaw polskich i zagranicznych. Redaktor graficzny czasopisma literacko-kulturalnego „Wielkopolski Widnokrąg”. Odznaczony oznaką Zasłużony Działacz Kultury.

PROTOKÓŁ kulturalny

Wydawca – Klub Literacki „Dąbrówka”
przy Piątkowskim Centrum Kultury
Poznańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej,
os. Bolesława Chrobrego 120, 60-681 Poznań
Redaguje Jerzy Grupiński tel. 61 2223033
e-mail jerzygrupinski@gmail.com
jsszwarcowie@wp.pl

Współpraca – Stefania Pruszyńska i Stanisław Szwarc
Przygotowanie do druku i korekta – Stanisław Szwarc
Druk – EuroPrint, Poznań, Pamiątkowa 19.
„Protokół” dostępny także na stronie
<https://protokolkulturalny.wordpress.com/>
(także numery archiwalne)

Autorzy przysyłający teksty do „Protokołu Kulturalnego” wyrażają zgodę na korzystanie ze swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych.
Autorzy ponoszą odpowiedzialność z tytułu naruszenia prawa spowodowanego publikacją ich materiałów.
Redakcja zastrzega sobie możliwość skracania nadesłanych materiałów oraz ew. zmian tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.